№ 35 Warszawa, dnia 18 (30) Sierpnia roku 1879



TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Numer pojedynczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3. na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwart. w miejscu złr 2 c. 75 na prowincyi złr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Chmielnej Nr 1530 (nowy 20).

FRANCISZEK COPPÉE.

POETA FRANCUZKI.

przez S. z Ż. D.

(Dokończenie).

Dwuaktowy dramacik Coppego: *Lutnista* z Kremony, przenosi nas w inne miejsca i w inne czasy. Rzecz dzieje się we Włoszech, w mieście Kremonie, w początkach ośmnastego wieku. Umarł niedawno Stradivarius, którego skrzypce słynęły i słyną do dziś dnia w świecie całym; zaniósł on do grobu tajemnicę swoją. Kremona w rozpaczy; chwała jéj znikła jak cień ze skonem mistrza. Lutnista Ferrari ogłasza konkurs; przyrzeka oddać zwycięzcy oprócz zwykłéj nagrody, rękę córki i własny dom w posagu. Wśród licznych współzawodników, dwaj najzdolniejsi występują do walki: jeden z nich dorodny Sandro, zakochany w ślicznéj Gianinie, owéj córce Ferrarego, przeznaczonéj w nagrodę, drugi Felipio, garbusek, sierota, ubogi w dary ziemskie, ale uposażony iskrą geniuszu. I on także kocha Gianinę, dziewczę tymczasem drży z trwogi na myśl że ktoś inny a nie Sandro może zostać zwycięzcą.

Zbliża się dzień konkursu. Garbusek wykonał arcydzieło. Pewien tryumfu z całą nawinością wypowiada przed dzieweczką, swoją radość, swoje nadzieje.

Co dnia, nim brzask zaświta, już ze snu zbudzony,
Wybiegam tajemniczo za mury Kremony,
Sam wiatr mnie nawet w biegu nie dogoni szybki;
Połą płaszcza osłaniam drogie moje skrzypki,
Pędzę daleko w pole gdzie oczy poniosą,
I siadam na murawie uperlonéj rosą,
I marzę... a gdy zorza widnokrąg zrumieni,
Gdy słońce kręgiem jasnych rozbłyśnie promieni,
Gdy przyroda zbudzona dzienny strój przywdziewa,
Gdy drżą trawki na łące, szumią w lesie drzewa,
Gdy skrzydlate w gniazdeczkach rozbudzą się roje
Wydobywam z zanadrza drogie skrzypki moje:
O! wielka to nagroda za pracę wytrwałą!
Chwytam smyczek do ręki, tnę po strunach śmiało,
Na cześć jasnego słonka, w takt z lasu pogwarem,
W takt wiatru co przebiega błękitnym obszarem,
W takt owéj śpiewnéj rzeszy co w gniazdkach szczebiocze,
Cudnym akordem dzwonią me skrzypki urocze;
Z rozbudzoną przyrodą ich dźwięki się zlały
W jeden hymn tryumfalny młodości i chwały!

Gianina słucha, bledniejе z trwogi, radaby posłyszeć dźwięki cudownych skrzypków. Felipo uderza smyczkiem w struny. Łzy wytrysły z oczu dziewczęcia. Szczęśliwy garbusek widzi w nich własny tryumf... Niestety! złudzenie pierzchło jak sen, Gianina wyznaje mu że kocha Sandra; płacze, bo on nie otrzyma jéj ręki!

Dziewczę odchodzi. Zrozpaczony Felipo chce rozbić skrzypki wykonane z taką pracą. Nagle w duszy jego powstaje myśl wielkiéj ofiary. Skrzypki Sandra leżą przygotowane już na konkurs; wydobywa je z pochwy, w miejsce ich kładzie swoje.

W akcie drugim zebrali się sędziowie. Felipo prosi towarzysza aby ze swymi przyniósł i jego skrzypki. Sandro biegnie, wraca po chwili. Uniesiony miłością popełnił czyn nikczemny. Zamienił skrzypki: swoje wrzucił do pochwy Felipa; w gorączkowym pośpiechu, nie spostrzegł że były już zmienione.

Imię Felipa rozlega się tryumfalnie. Ferrari ogłasza go zwycięzcą. Kładzie mu na szyję łańcuch złoty, oddaje mu piękną Gianinę. Ale szlachetny młodzian nie przyjmuje ofiary. Niechaj ona będzie szczęśliwą! on poprzestanie na tem! Za cały skarb pozostały mu skrzypki. Idzie z nimi na daleką wędrówkę!

Nie zawsze jednak Coppée, równie szczęśliwym jest w pomysłach; przychodzą i na niego chwile znużenia i upadku; i on śladem innych potrąca czasem w bajroniczne struny dźwięczące jakiemś rozpaczliwem echem. Do małéj liczby tych chorobliwych utworów, należy powiastka *Oliwier*. Bohaterem jéj młody poeta, zwieńczony w wawrzyny, obsypany oklaskami paryzkich salonów. Użył on i nadużył wszelkich uroków życia. Z dawnych ułud pozostał mu ckliwy niesmak. Postanawia opuścić Paryż. Gdzie podąży? sam nie wie. W dżdżysty dzień kwietniowy, siedzi przy oknie i duma. Patrzy w chmury kłębiące się tumanem.

Nagle piosenka z ulicy dobiega mu do ucha, nuci ją młody Bretończyk, zabłąkany jak on w wielkiem mieście. Dźwięk pieśni unosi go w przeszłość.

Ah! znana to zwrotka,
Brzmiała niegdyś do taktu z wirem kołowrotka,
Przez usta drogiéj matki, gdy dziecinką małą
Bawił się u jéj kolan, a słońce padało
Na próg domu, gdzie wdowa snuła dni w żałobie,
I tęskną myślą spoczął przy drogim jéj grobie,
Co pod cieniem kościołka murawą porasta.
Gdzie spokój Boży święta znalazła niewiasta.
Niechże na téj mogile zapłacze jak dziecię,
I krzyż na niéj zielony kwiatami oplecie.
Niech obejrzy raz jeszcze swój domowy kątek,
I serce czarem drogich nakarmi pamiątek.

Na tę myśl mało z piersi serce mu nie skoczy.
Obraz wioski rodzinnéj staje mu przed oczy,
Rząd wysokich topoli tam nad wodą rośnie,
Z szumem listków ptaszęta coś gwarzą radośnie;
A na tle widnokręgu, w szaréj mgle, nad rzeką,
Mury i wieże miasta bieleją daleko.

Widzi dworek rodzinny, rozwarte wszerz wrota,
Lipy rosną w podwórku, a róże u płota,
W sieni odwieczna strzelba przybita do ściany,
Nosił ją kiedyś ojciec sierocie nieznany.
Tam sypialnia matczyna, jéj łóżko tak świeże,
Na półkach rozstawione czarki i talerze,
Za dworkiem się ku rzece ciągnie ogród spory
Cały w grzędy pokrajan; matka według pory,
Zbierała w nim owoce i jarzynki nowe:
Koszyk wisien, pęk szczawiu lub kapusty głowę.
Daléj szkoła, tu psota nie uszła na sucho,
Dyrektor nie raz ucznia wytargał za ucho,
Istny sęp w okularach i czarnym birecie;
Tam był wiąz, kędy młodzież zbierała się w lecie,
Brzmiały skrzypki i basy, śmiech wrzawa i tany,
Niestety! wiąz ten runął piorunem strzaskany!

Oliwier pragnie obejrzéć te miejsca, których obraz tak cudnie maluje się w jego duszy. Wyjeżdża. Pędzi na skrzydłach pary, przesiada się do pocztowego wozu, rusza daléj...

Wśród drzew prosto jak strzelił idzie droga bita,
Wszystko tu go poznaje i radośnie wita,
Oczyma za nim goni, nawet krówka lada
Patrzy słodko i szyję do płotu przykłada;
Ryk bydła się rozlega po dolinie całéj,
Młyńskie koła turkoczą tak jak turkotały.

Wieść o przybyciu poety do miasteczka, rozeszła się w mgnieniu oka po okolicy. Imię jego tylokrotnie powtarzane w gazetach, doszło nie raz do ucha Bretonom. Każdy pragnie go widziéć, uścisnąć jego rękę. Stary przyjaciel domu, zamieszkały w pobliskiéj wiosce, zaprasza go do siebie na lato. Oliwier przyjmuje wezwanie.

Ledwie że wszedł w gościnne progi, spostrzega córkę przyjaciela, śliczną Zuzię, istny pączek róży, zaledwie rozwinięty. Zuzia liczy piętnaście latek: postać to prawdziwie idealna. Poeta oczarowany tak maluje cudne zjawisko:

Gdy myśl moja na skrzydłach do niéj się zapędzi,
Ona mnie się pojawia jak puszek łabędzi,
Jak lilijka bieluchna, jak ten śnieg co pruszy
Zimą po gór wierzchołkach... O! trzeba mieć w duszy
Myśl przeczystą, pogodną, nie skażoną niczem;
By godnie serce poić tem tchnieniem dziewiczem,
Gdy szczebiocze do ciebie drobniuchnemi usty
Jéj głosik pieszczotliwy a uśmiech tąk pusty,
Ale dziwna powaga uderza z jéj czoła:
Usteczka to dziecięcia, spojrzenie anioła!
Jak zgrabnie drobną rączką odrzuca ze skroni
Złoty włos gdy jéj oczy na wietrze zasłoni,
Przed czarem tego wdzięku niech wszyscy poklękną,
A jednak... ta dziewczka... ona nie jest piękną!

Niestety! za późno poeta znalazł wymarzony ideał; serce jego zwiędło przedwcześnie, świat zmroził je swem tchnieniem. W niewinnych słówkach Zuzi, upatruje zaród przyszłéj zalotności; jéj dziecięca radość z otrzymanego klejnotu, budzi w nim podejrzenie. Ona gotowa zaprzedać się za złoto! Ucieka od niéj... Gdzie? do Paryża!... tam rzuci się rozpaczliwie, w ten szał który niedawno tak przeklinał, zatraci w nim ostatni promyk iskierki Bożéj, utonie w piekle najohydniejszego realizmu.

Smutna to powieść! szczęściem Coppée uderzył w skrzydła i w ostatnich utworach wzbił się znów na wyżyny z których zstąpił na chwilę!

Nie rozbieramy ostatniego dramatu w pięciu aktach, osnutego na tle czternastego wieku, pod tytułem: *Stóletnia wojna*; Coppée tworzył go do współki z innym autorem p. d'Artois. Metaliczny dźwięk wiersza, świadczy wymownie, że jeśli d'Artois wziął udział w umiejętnym układzie scen i aktów, Coppée za to, cudnym językiem przemawiał w imię Dugueslina, bohatera dramatu. Gorąca miłość kraju ożywia cały utwór. Toż samo uczucie natchnęło poecie myśl do kilku ślicznych obrazków, skreślonych dorywczo po wojennych klęskach r. 1871. Jeden z nich *List* ochotnika Bretońskiego, niesłychane znalazł powodzenie. Powtarzano go w swoim czasie na wszystkich porankach dramatycznych. Obrazek to dziwnie piękny, prostotą swoją. Ustęp w którym Breton opisuje rodzinie Paryż, przypomniał nam żywo *Janka z pod Ojcowa*, jak wróciwszy na swoje śmieci, określa po swojemu cuda Warszawskie:

Byliśmy i w Paryżu, mieścisko to duże,
Ludu w nim jakby mrowia... dreszcz mnie zbiegł po [skórze.
Złe jakieś przyszły wieści, naród osowiały
Po ulicach gazety czyta przez dzień cały,
Mieszczanie nas rekrutów goszczą jak kto może,
Jam z Piotrem stanął w pięknym murowanym dworze.
Nie brakło nam wygody, napoju ni jadła,
Cudniej tam, gdzie rzuć okiem: obrazy, zwierciadła,
Podłoga jak szkło ślizka, nie śmiem stąpić kroku,
Siadam na brzegu krzesła... aż tu szczęściem z boku
Gromadka drobnych dziatek wesoło przybieży,
Spojrzy na nas i hurmem pędzi na żołnierzy,
Jedno drze się do szpady, drugie do felucha,
Pełno gwaru, tartasu! byłaż to uciecha!
Aż jakoś i mnie wkrótce ośmieliły dziatki,
Żem raźniéj począł stąpać po podłodze gładkiéj.
I takem się z rodziną zapoznał powoli,
Jakbyśmy zjedli razem całą beczkę soli!

W innym monologu, p. t. *Klejnoty*, poeta ukazuje młodą kobietę w balowym stroju, przed zwierciadłem. Przygląda się sobie z uczuciem radości i dumy. Włożyła przecie te klejnoty, zbyt długo zamknięte pod kluczem.

Jak cudnie ten naszyjnik zdobi gładką szyję
Prześliczne te kolczyki, aż łuna z nich bije!
Jak ponętnie z mych włosów kruczemi uploty,
Mieszają się te perły! jak ten pierścień złoty
Utkany szmaragdami zdobi rękę białą,
Aż lica mi skraśniały i serce zadrżało!

Wtem zegar uderzył dziewiątą; na bal jeszcze za wcześnie. Kobieta zadumała się, przypomina sobie jak rok temu o téj saméj porze siedziała u wezgłowia rannego.

Był to kmieć ubogi,
Prosty żołnierz, pamiętam jak przyjął bez trwogi
Smutny wyrok, gdy lekarz ogarnął oczyma
Straszną ranę i szepnął: ratunku już nie ma!
A gdy ksiądz z panem Bogiem stanął u tapczanu,
Mój nieznany bohater pokłonił się Panu,
W milczeniu prawą rękę przyłożył do czoła,
Jak żołnierz przed sztandarem, gdy trąba zawoła
Do ataku!

Myśl puszczona raz w tym kierunku nie zatrzyma się łatwo. Strojna kobieta, przypomina sobie smutne słowa konającego. Pojednany z Bogiem, nie żałował on życia, bolał tylko nad dolą biednych rodziców. Mają oni chatę i winniczkę nad Marną... tam Prusak rozsiadł się zwycięzko; nie ruszy ztamtąd póki kraj nie sypnie okupem. Zkąd tu wziąść tyle złota?

Kobieta zwraca znów oczy na zwierciadło; uśmiecha się..: ona tak piękna!... I znów cień przemknął na jéj czole... Zaciska oczy... spogląda nagle ku drzwiom...

Co widzę? na Boga!
Jego trup... jego widmo stoi tam u proga...
On zaśmiał się i pyta... jak drżący, jak blady!
„Snać po téj strasznej wojnie zatarte już ślady
Snać wolne od najazdu nasze wsie i miasta.
Skoro na bal pośpiesza francuzka niewiasta,
Strojna w perły, w klejnoty, w ten jedwab uroczy!"
Zatrząsł się i surowo wzrok wlepił mi w oczy,
Wskazuje z pod całuna pierś na pół rozdartą,
I niby liczy w myśli, ile złoto warto
Które ja mam na sobie!

Kobieta drży jak liść, zrzuca z czoła rubiny i dyamenty, drogie perły odpina z kruczych splotów. Ona je odda na ofiarę; niechże okupi choć kęs francuzkiéj ziemi!

Monolog ten przedstawiany często na scenie: poruszał do łez Paryżanki. Słowa nie przebrzmiały naprożno! Wśród owych pięciu miliardów, któremi Francya sypnęła tak szczodrze, niejedna zapewne garść złota, padła na głos ulubionego poety.

URZECZONY.

Héj! nie wysiedzę w téj wiosce dłużéj,
Tu ktoś zarzucił na mnie uroki —
Wszystko się w koło mnie tylko chmurzy,
Wszędzie tak smutno: gdzie zwrócę kroki...
Więc pójdę już ztąd w dalekie strony
Otrząsnąć smutki, zrzucić rozpacze —
Wszak i tak po mnie nikt nie zapłacze,
Bom urzeczony!..

Sąsiadom słońce świeci tak mile,
Pola ich strojne szatą majową —
Im kwitną róże — im kwitną lilje —
A u mnie wiecznie pustka, jałowo...
Więc już porzucę raz te zagony
I nigdy więcéj ich nie obaczę —
Wszak przecie po mnie nikt nie zapłacze,
Bom urzeczony!...

Moim sąsiadom czas słodko płynie:
Śpiewy, ochota, radość do koła —
A moją chatę dziś każdy minie, —
Bo u mnie tylko smutek u czoła...
Pójdę ztąd, pójdę! Rży już koń wrony
I psisko wierne radośniéj skacze —
Pójdę... a po mnie nikt nie zapłacze,
Bom urzeczony!...

Héj! nie wysiedzę w téj wiosce dłużej,
Bo tu ktoś rzucił na mnie uroki —
Pójdę — a może wśród téj podróży
Zoczę gdzie milszę, czystsze obłoki, —
Odchodząc, na tym krzyżu czerwonym
Zawieszę zeschłe kwiecie prostacze...
A może ona... Nie! nie zapłacze
Nad urzeczonym!...

FLAMINIA.

POWIEŚĆ

przez

Jana Zacharyasiewicza.

(Dalszy ciąg).

XXXIV.

Podczas gdy Maryan krótszą, suchą drogą do osieroconéj po raz drugi Flaminii spieszył, przybiła

gondola do schodów hotelu, a z niéj wysiadła krewna nieboszczki prowadząc pod rękę słaniającą się co chwila Flaminię.

Eliza wyjrzała przez okna a twarz jéj zachmurzona rozjaśniła się.

— Jeszcze nie wszystko stracone, rzekła do rodziców, którzy tych słów prawie nie rozumieli.

Za chwilę otworzyły się drzwi a krewna nieboszczki wprowadziła Flaminię do pokoju.

Zimno, sztywno przyjęto przybyłe. Poszło to jednak na rachunek smutku i przerażenia, jakie wywiera zazwyczaj taka katastrofa.

— Przyprowadzam Flaminię, rzekła krewna nieboszki, bo obawiam się o jéj zdrowie. Dłużéj przy świeżych zwłokach pozostać nie może. Żal i smutek po zgonie zacnéj opiekunki, która nawet w ostatniéj godzinie o niéj pamiętała, przechodzi jéj słabe siły. Dla tego zostawiam ją czas niejaki u państwa, spodziewam się że przy kochających ją sercach łatwiéj zniesie swój smutek.

Przy słowach że nieboszczka w ostatniéj godzinie pamiętała o niéj, przebiegł po twarzy Elizy ironiczny uśmiech. Odpowiedziano jednak konwencyonalnym frazesem, a Eilza podsunęła nawet fotel Flaminii, która się widocznie na nogach chwiała.

— A teraz śpieszę do ostatnich dla nieboraczki obowiązków, mówiła daléj krewna zabierając się do odejścia, chociaż te obowiązki są twarde.

— Spodziewam się, ozwała złośliwie Eliza, że do tych twardych obowiązków sił pani nie zabraknie jak Flaminii.

— Trzeba się jakoś krzepić, odpowiedziała towarzyszka Flaminii nie widząc w słowach Elizy nic złego, przechodziło się nie jedno zmartwienie, nie jedną burzę życia.

Pożegnała się i wyszła.

Po jéj odejściu zapanowało w pokoju długie milczenie. Flaminia siedziała na fotelu i patrzała zamyślona przed siebie, jakby nawet nie wiedziała gdzie się znajduje. Wzrok jéj gubił się gdzieś w powietrzu, jakby zawisł na jakimś powietrznym niewidzianym przez innych obrazie...

Państwo Salezowie milczeli nie podnosząc nawet oczu na osobę, która zamiast wymarzonego szczęścia groziła im wielkiem mniemanem nieszczęściem. Nie mieli nawet odwagi słowa do niéj w téj chwili przemówić, bo sumienie oskarżało ich, że sami stali się winnemi tego grożącego nieszczęścia.

Eliza nie miała także odwagi odezwać się do przyjaciółki. Nie dawno jeszcze czuła dla niéj bardzo wiele sympatyi a nawet wierzyła że jest przyjaciółką. Co się właściwie składało na te przyjaźń, na jakim gruncie wyrósł i zakwitnął ten kwiat niebiański, z tego nie zdawała sobie sprawy. Dzisiaj uczuła nagle w swojem sercu zmianę tego uczucia. Coś jeszcze pozostało z dawnych dla przyjaciółki sympatyi, ale wypływające z tych sympatyi widoki zmieniły się. Czuła tę zmianę a nie miała odwagi objawić jéj słowami, które w dzisiejszéj rozmowie za konieczne uważała.

Nie przeczuwała tego wcale Flaminia. Przeciwnie, oddalona od miejsca bolesnéj katastrofy i otoczona ludźmi, którzy ją tak kochali i tyle dawali jéj przyjaźni swojéj dowodów, zaczęła powoli przychodzić do siebie. Czuła jakieś przyjemne ciepło, które napowrót rozgrzewało jéj serce, czuła wyraźnie, że mimo śmierci opiekunki swojéj nie jest przecież tak biedną sierotą na świecie.

Obejrzała się po chwili z weselszym uśmiechem.

— Czy nie ma Maryana? zapytała.

— Nie ma, odpowiedziała Eliza, wyszedł gdzieś. Zapewne za interesami.

— Czy wie już o śmierci?

— Wie... o wszystkiem.

— Zapewne mocno się zmartwił.

— Więcéj niżeliśmy przypuścić mogli.

Głęboki smutek odbił się na twarzy Flaminii.

— Biedny, rzekła, nieboszczka tak go kochała. W ostatnich dniach ciągle o nim mówiła. Widocznie było jéj lepiéj, gdy Maryana widziała... Wierzę bardzo że śmierć jéj bardzo go zmartwiła.

Eliza spojrzała na ojca i uśmiechnęła się. Na uśmiechniętych ustach pojawił się wyraz cierpkiéj ironii, chciała już coś powiedzieć i widocznie cieszyła się w duchu z tego co powie, gdy nagle spojrzawszy na twarz Flaminii zacisnęła usta i zamilkła. Na twarzy bowiem Flaminii malowała się w téj chwili taka niewinna anielska wiara w wymówione słowa, tak daleką ona była od nieprzychylnego dla nieboszczki uczucia, że Elizie odeszła odwaga wytłómaczenia tych słów w sposób odwrotny. Spuściła oczy i milczała daléj.

W dziwnem położeniu byli teraz wszyscy troje. Przed chwilą mieli odwagę wypowiedzieć głośno zdania swoje Maryanowi a nawet natarczywie zachęcać go do kroków wstecznych, które uważali za konieczne, teraz jednak, gdy sama słaba kobieta stanęła przed niemi, nie mogli nawet pomyśleć o tem, aby to samo przed nią wypowiedzieć. A im dłużéj rozmowę z nią odwlekali, tem trudniejsze stawało się dla nich położenie.

Flaminia spojrzała na kominek. Na kominku palił się ogień.

— Jakże to dobrze, że się ogień pali, rzekła z słodkim uśmiechem, bo mnie było tak zimno, strasznie zimno. Gdy nieboszczka umarła, zdawało mi się, że zagasł ogień, który mnie ogrzewał... A więc jest większe nieszczęście nad to, jeżeli człowiekowi zimno na świecie, zimno między ludźmi?...

— Może się przysuniesz do kominka i ogrzejesz? ozwała się Eliza.

— Lepiéj ty przysuń się do mnie i uściskaj mnie, odpowiedziała z smutnym uśmiechem, wszak dzisiaj nawet nie przywitałaś się ze mną jak zwykle.

Eliza zaczęła się bawić koronką.

— Przy takiéj katastrofie, odrzekła, zapomina się o zwykłych codziennych karesach.

— Prawda, byłam w téj chwili egoistką. Nawet Maryanowi miałam trochę do zarzucenia, że teraz za interesami poszedł, ale po twojéj słusznéj uwadze widzę że to było niesłusznie z mojéj strony. Bolesne katastrofy działają jak nagłe uderzenia. Tamują krew, zastanawiają na czas niejaki całe życie. Wszystkie nasze potrzeby i nawyknienia odpadają wtedy od nas, i wracają dopiero gdy wrażenie katastrofy się uśmierza. Przyznam się że ja sama miałabym w pierwszéj chwili wiele sobie do zarzucenia. Pod pierwszym ciosem straciłam nawet świadomość, że jakkolwiek strata jest wielka, mam jednak jeszcze w koło siebie serca, które mi zamarznąć w sieroctwie mojem nie dadzą.

Rzekłszy to podniosła się z fotelu a zbliżywszy się szybko do fotelu pani Apolonii rzuciła się przed nią na kolana. Z płaczem zaczęła całować jéj ręce i kolana.

Pani Apolonia nie wiedziała co ma począć. Czy ma wzbronić Flaminii tego zbytniego wylania uczucia, czy przyjąć je z wdzięcznością matki Maryana. I stało się, że podczas gdy pani Apolonia jeszcze z sobą w niezgodzie była, jeszcze nie wiedziała na którą przychylić się się stronę, puściły się nagle łzy z jéj oczu i po jéj twarzy zaczęły gorącym płynąć strumieniem. Przy łzach znalazło się i uczucie. Podniosła Flaminię z ziemi, przycisnęła do piersi i serdecznie ją ucałowała.

Niezrozumiałą była ta scena dla Elizy. Nie miała jednak odwagi przerwać ją jakiem słowem.

W niemniejszym kłopocie był pan Salezy. Oswoił się już trochę z myślą że Flaminii trzeba będzie coś o zmienionéj pozycyi powiedzieć i do szlachetnego jéj serca zaapelować, gdy nagle ta czuła scena, z tą prawdą niekłamaną przez panią Apolonię oddana, zupełnie mu szyki popsuła.

Położenie jego jeszcze się więcéj pogorszyło. Czułego serca pani Apolonia, skończywszy swoje uściski i całowania, chciała Flaminią posadzić na powrót na fotelu, ale pomyliła się w kierunku i mimowoli zbliżyła ją do męża. Rozszlochana biedna sierota widziała w tych mniemanych chęciach pani Apolonii dowód prawdziwie macierzyńskiego uczucia. Postąpiła krok daléj i tak samo jak pierwéj, z sercem przepełnionem, rzuciła się przed ojca przyszłego swego męża.

Pan Salezy szybko zabrał się do tego, aby tę przykrą scenę jak najprędzéj skrócić, ale sparaliżowaną ręką nie mógł tego tak prędko dokonać. Flaminia wypłakała się przy jego rękach, a gdy w końcu z ziemi się podniosła, czuła się tą niekłamaną miłością przyszłych rodziców swoich tak pokrzepioną, że już o własnéj sile zbliżyła się do Elizy i z całą namiętnością przepełnionego szczęściem serca, na szyję się jéj rzuciła.

Dziwna ironia była w tych scenach serdecznych, zdawało się, że dwa zastępy złych i dobrych duchów walczą tu z sobą. Na którą stronę przychyli się zwycięztwo?

Wreszcie usiadła Flaminia na powrót na swoim fotelu. Nie mówiła już więcéj o ogniu na kominku. Twarz jéj rumieniła się od gorąca, jakie w téj chwili rozgrzewało jéj serce. Przebyta katastrofa, jak obraz oddalający się co raz więcéj, bladła co raz więcéj, a jaskrawe jéj kolory przygasały po woli... A tuż z po za niéj wychylił się nowy, świeży obraz nowego życia, nowéj wiosny, nowego szczęścia... Ciemno szafirowe oczy patrzały z zachwyceniem w ten obraz, a z wdzięcznością patrzała na tych, którzy najbliżéj tego obrazu stali..

Dla Elizy która widocznie ton akordu zmienić chciała, było to położenie nieznośne a zmiana nader trudna. Nie mogła znaleść słowa, któreby wstępny bój rozpocząć chciało. Chowały się gdzieś jakby się swojéj roli wstydziły.

Po niejakim czasie otarła Flaminia oczy i z weselszym uśmiechem spojrzała na Elizę.

— Powiedziałaś, ozwała się do niéj, że Maryan za interesami wyszedł. Czy długo tam zabawi?

Eliza ruszyła ramionami.

— Alboż ja wiem, odpowiedziała, kiedy Maryan wróci? Czyż ja wiem jakie interesa zajmują go w téj chwili?... Być może, że chodzi w téj chwili nad brzegiem morza, a pewien instynkt złowrogi kieruje jego kroki tam, gdzie jest woda najgłębsza, podczas gdy my tutaj tak rozkosznie szczęściem jego i naszem się cieszymy!...

Flaminia patrzała na Elizę jakby jéj nie rozumiała.

Po chwili rzekła:

— Nie rozumiem cię.

Ożywiła się twarz Elizy.

— Widzę że nie rozumiesz mnie, odpowiedziała szybko, i w ogóle nie rozumiesz położenia w jakiem wszyscy jesteśmy po téj świeżéj katastrofie. Zazdroszczę ci twego anielskiego wzroku jakim na świat i życie patrzysz, ale obowiązkiem mego trzeźwiejszego oka jest odsłonić ci niebezpieczeństwo i przepaść w którą siebie i innych wciągnąć możesz.

— Zlituj się, zawołała z przerażeniem Flaminia.

— Czy kochasz Maryana?

Szkarłatny rumieniec oblał twarz Flaminii.

— Jak możesz stawiać mi takie pytanie? odrzekła.

— Bo odpowiedź twoja jest mi potrzebną do następnego.

— Słów twoich nie rozumiem.

— Zechciéj z idealnych wyżyn swoich zejść na ziemię.

— Cóż to znaczy?

— Życie nasze na ziemi ma swoje nieodwołalne warunki.

— Nigdy temu nie przeczyłam.

— Tym warunkom musi stać się zadość, za nim po wyższe, idealniejsze kwiatki sięgniemy!

— Wiem o tem.

— Czy przy niedawnych uściskach myślałaś o tem?

— O czem?

— O tych warunkach.

— O jakich?

— Które stanowią podstawę każdego wyższego szczęścia to jest... byt materyalny.

— Byt materyalny? Z kądże ci przyszła myśl mówić o tem ze mną?

— Po testamencie nieboszczki.

— Po testamencie?

— Przecież znasz jego treść.

— I cóż z tąd?

— Z tąd łatwo możesz wnosić jak wielkie było nasze i Maryana zdziwienie, gdyśmy się o tym testamencie dowiedzieli.

— Zdziwienie?

— Chciałem powiedzieć, zmartwienie.

— Czyż kto innego testamentu wyczekiwał?

— Wszyscy byliśmy pewni innego. Nieboszczka sama mówiła nam że cały majątek tobie zapisze.

Twarz Flaminii zbladła.

— Czy i Maryan tak myślał? zapytała a usta jéj zadrżały.

— Maryan... Maryan prawdopodobnie że tak myślał, bo inaczéj nie mógłby nawet myśléć o takim kroku.

— Dla czego nie mógłby?

— Chciéj mi wierzyć, kochana Flaminio, że każdy, ziemski majątek mający dzisiaj mężczyzna, musi przy ożenieniu swojem myśléć o tem, aby z tego kroku spłynęła jakaś pomoc dla niego.

— Czy pan Maryan także myślał o tem?

— Zdaje mi się.

— Wszak zawsze mówiłaś mi, że brat twój nie potrzebuje w wyborze swoim krępować się żadnymi względami, że jest w położeniu takiem iż może wybrać najbiedniejszą osobę, byle tylko ją mógł ukochać...

— Tak... prawda... tak się mówi... ale.

— Ale jakim sposobem można było przypuszczać, ze nieboszczka dla mnie pokrzywdzi najbliższych krewnych swego męża, którym się prawie ten majątek należy?...

— Mówiła nam nie raz.

— Może tylko w przystępie złego humoru czyniła w ten sposób folgę swemu sercu, bo jéj niektórzy z tych krewnych mocno dokuczali...

— W takim razie zaszło pewne złudzenie, którego nie można lekceważyć.

Flaminia podniosła się z fotelu i stanęła wyprostowana na środku pokoju. Miała w téj chwili postawę królowéj. Podniosła rękę prawą do góry i rzekła:

— Nie wiem, z czyjéj strony mogło tu zajść złudzenie. Co do mnie, przysięgam na Boga, że niepokochałam konkurenta milionowego, ale pokochałam człowieka. Niechże teraz sam pan Maryan odpowie, czy w obec zmienionego położenia chce być jednym czy drugim, niech odpowie, czy ukochał bogatą dziedziczkę czy kobietę...

Przy tych słowach zapłonęła twarz Flaminii ciemnym rumieńcem, a ciemno-szafirowe oczy stały się prawie czarne. Tylko z samego środka tych oczu tryskały dwa ogniste promienie, mieniąc się w barwy tęczowe... Stała tak kilka chwil... nikt jéj nie odpowiedział... nikt nie miał odwagi trącić ostrzem w to serce tak przepełnione, tak rozprężone, że za lada dotknięciem mogłoby pęknąć...

Po chwili podniosła się jéj pierś wysoko a obfity strumień łez wypłynął z jéj oczu. Załamała ręce nad głową i zawołała spazmatycznie:

— Mój Boże! Jakże mi zimno na świecie. Czyż na to były płomienie moją pierwszą kolebką, aby mi potem między ludźmi zimno było?...

I upadła na krzesło i spazmatycznie płakać zaczęła...

Pan Salezy i pani Apolonia byli dotąd niememi świadkami téj pięknéj sceny. Główną rolę zostawili Elizie a sami wymownem milczeniem zdawali się potwierdzać co mówiła. W miarę jednak zaostrzającéj się rozmowy, coraz przykrzejsze ogarniało ich uczucie i byliby bardzo wdzięczni za to Elizie, gdyby ta rozmowa się zakończyła. Pan Salezy nawet gotował się już z pewnemi łagodzącemi uwagami, gdy ostatnie słowa Flaminii i jéj płacz kurczowy, nagle odebrał mu wszelką odwagę. Za to odważniejszą na widok łez biednéj sieroty okazała się pani Apolonia. Kobiece serce nie mogło dłużéj znieść boleści kobiecéj... Pani Apolonia szybko zerwała się z fotelu i podbiegła do płaczącéj w bolesnych kurczach Flaminii.

— Uspokój się, moje dziecię, zawołała z uczuciem macierzyńskiem, podtrzymując jéj głowę gorącą, uspokój się Flaminio... nikt tak źle nie myśli... nikt nie chce sercu twemu krzywdy uczynić... Uspokój się... zaklinam cię na Boga... na miłość twoją dla Maryana...

Ostatnie słowa jak iskra elektryczna wstrząsnęły Flaminią. Łzy nagle ustały, otworzyła oczy.

— Któż mnie zaklinał na miłość moją dla Maryana? zapytała patrząc do koła, jakby się ze snu obudziła.

— Matka Maryana zaklina cię, powtórzyła prawie ze łzami pani Apolonia.

— Matka Maryana? powtórzyła z uniesieniem Flaminia. O matko! Jakże czarowne wymówiłaś słowa. Czy mnie możesz tak kochać jak ja kocham Maryana?

I osunęła się przed nią i chwyciła ją za kolana łkając głośnym płaczem.

Nie mógł tego widoku dłużéj znieść pan Salezy. Usiłował wstać biedny paralityk i do biednéj sieroty się zbliżyć, ale nogi nie pozwoliły mu ruszyć się z miejsca.

— Apolonio! zawołał, podnieś ją z ziemi.

Eliza siedziała zachmurzona i patrzała w zamyśleniu przed siebie.

Nikt prawie z obecnych nie wiedział, że przy téj scenie dramatycznéj był jeszcze jeden świadek.

Stał on przy drzwiach jak człowiek skamieniały. Oczy jego wpatrzyły się w klęczącą na ziemi Flaminię.

— Cóż to się stało? zawołał po chwili zbliżając się do Flaminii i podnosząc ją z ziemi.

Flaminia obejrzała się i krzyknęła.

— Cóż to jest? powtórzył zapytanie Maryan.

Flaminia trzymała chwilę oczy ręką zakryte, jakby do siebie przyjść chciała, a potem odrzekła:

— Widzisz co jest. Błagam twéj matki, aby mnie tak kochała, jak ja ciebie kocham... Patrz na łzy, któremi odpowiedziała mi...

Pani Apolonia rzeczywiście płakała teraz. Maryan chwycił matkę za rękę i gorąco zaczął tę rękę całować... *(d. c. n.)*

PIENIĄDZE.

KOMEDYA W PIĘCIU AKTACH

PRZEZ **Bulwera**

z angielskiego przełożona przez M. G.

(Dalszy ciąg).

Scena IV.

Salon w domu Sir Johna Vesey, jak w pierwszym akcie.

Lady Franklin, Klara, Służący.

Lady Franklin. Już po drugiéj a ja mam tyle wizyt do zrobienia! Powiedz Filipowi że potrzebuję powozu natychmiast.

Służący. Filip kazał mi oznajmić milady, że koń zakulał i nie może dziś iść do zaprzęgu. (wychodzi).

Lady Franklin. Z drugiéj strony dobrze się złożyło; mam doskonałą wymówkę do niezrobienia tylu nudnych wizyt. Na wieczór wezmę konie Sir Johna. Klaro! musisz zobaczyć moje nowe ubranie na głowę; prześliczne i bardzo mi w niem do twarzy.

Klara. Ach! Lady Franklin, będziesz się pani gniewać ale... ale...

Lady Franklin. Ale co?

Klara. Prawdziwe nieszczęście! Smith cała we łzach: obiecałam jéj że wszystko pani opowiem. Karolek pisał na stole i rozlał atrament; Smith nie widziała tego, i wyjęła ubranie żeby przypiąć do niego perły jak pani sobie życzyłaś i... i...

Lady Franklin (śmiejąc się). Ha, ha, ha! położyła go na stole, i poplamiła atramentem, ha, ha, ha, wyobrażam sobie jaką musiała mieć minę: Prawdę mówiąc, nie wielkie nieszczęście się stało; bo nawet zdaje mi się że mi lepiéj do twarzy w czarnem.

Klara. Droga Lady Franklin, prawdziwie masz pani najsłodszy w świecie charakter.

Lady Franklin. Spodziewam się, jest to najpiękniejsze ubranie jakie kobieta miéć może. Pamiętaj o niem jak pójdziesz za mąż. Mówiąc o małżeństwie, prawda że zdobyłam serce p. Graves.

Klara. Pana Graves? Ja myślałam że on istotnie niepocieszony.

Lady Franklin. Po swojéj świętéj Maryi! Biedny człowiek! Nie dość że była jego plagą za życia, musi go jeszcze nawiedzać po śmierci.

Klara. A więc dla czegóż jéj tak żałuje?

Lady Franklin. Dla czego? Bo ma wszystko co stanowi szczęście: majątek, zdrowie, zacny charakter i imię. A że koniecznie chce za nieszczęśliwego uchodzić, bierze więc jedyną wymówkę którą świat uznaje. Zresztą, to zwyczaj wdowców kiedy zamierzają się żenić. Ale ty, Klaro, taka jesteś zamyślona, blada, nieszczęśliwa... co widzę? łzy w twoich oczach?

Klara. Nie, nie, nie łzy!

Lady Franklin. A przecież od czasu jak p. Mordaunt zapisał ci 20,000 ft. każdy się tobą zachwyca. Sir Fryderyk zakochany po uszy.

Klara (pogardliwie). Sir Frydek!

Lady Franklin. Pociesz się Klaro, wiem twoją tajemnicę: pewna jestem że Evelyn cię kocha.

Klara. Kochał, ale dziś to już minęło. Nie zrozumiał mnie kiedy był biednym; teraz kiedy jest bogaty, nie mnie wypada się tłómaczyć.

Lady Franklin. Moje drogie dziecko,

szczęście jest rzeczą zbyt rzadką żeby je dla skrupułu poświęcać. Czemużby tu bywał tak często?

Klara. Może do Georgiany!

(Wchodzi Sir John i nachyla się nad stołem z książkami, jak gdyby coś szukał w gazetach).

Lady Franklin. Ba! Georgiana jest co prawda moją siostrzenicą; jest ładna i wykształcona ale światowość ojca popsuła na wskroś jéj naturę, nie warta jest Evelyna. Pod jego ironią widać coś szlachetnego, coś co mogłoby się stać niepospolitem. Dla jego szczęścia jak i dla twojego pozwól mi przynajmniéj...

Klara. Odwołać się do jego litości. Ach Lady Franklin! gdyby na twój rozkaz zbliżył się do mnie, odmówiłabym mu tak samo. Jeśli nie umie czytać w mojem sercu, jeśli nie stara się mnie zrozumiéć, pozwól mi pani stłumić to uczucie póki jest tajemnicą dla niego.

Lady Franklin. Mylisz się, moja droga; pozwól mi tylko powiedzieć mu żeś to ty podyktowała ten list, żeś to ty posłała pieniądze jego piastunce. Biedna Klaro! oddałaś wtenczas wszystko coś miała. Będzie mógł się przekonać czy chciwość jest twoją wadą.

Klara. Byłby to odgadł, gdyby *jego* miłość była podobną *mojéj*.

Lady Franklin. Odgadnąć! Co za niedorzeczność! Pismo nieznane, a miał wszelkie powody sądzić że to od Georgiany pochodzi.

Sir John (na str.). Hm! pochodzi od Georgiany!

Lady Franklin. Klaro, moja droga pozwól mi to mu powiedzieć. Wiem jaki to wpływ wywrze na jego wybór.

Klara. Wybór! Och co za upokarzające słowo! Nie, Lady Franklin, nie! przyrzecz mi to pani.

Lady Franklin. Ależ...

Klara. Nie, przyrzecz mi pani uroczyście.

Lady Franklin. Więc dobrze, przyrzekam.

Klara. Pani wiesz jak trwożliwego jestem charakteru, dziecko nie może być odemnie bojaźliwsze. Śmiejesz się pani ze mnie że na widok jednego pająka drżę i blednę; a jednak dałabym sobie odciąć rękę, przyjęłabym próbę ognia i wody, ażeby oszczędzić Alfredowi Evelyn jedną chwilę cierpienia. Ale odmówiwszy mu podzielenia z nim ubóstwa, umarłabym ze wstydu gdyby mnie miał posądzić że mnie znęcił widok jego bogactw. Moja droga, najlepsza, Lady Franklin dotrzymasz obietnicy?

Lady Franklin. Dotrzymam, jeśli już tak być musi.

Klara. Dziękuję. Przebacz mi pani, ja... ja... czuję się niedobrze.

(wychodzi).

Lady Franklin. Jakże nierozsądne są te panny! Tyle zadają sobie trudu żeby nie dostać męża, co biedne wdowy żeby go zdobyć.

Sir John. Czyś nie widziała dzisiejszego Times'a? Gdzie u licha podział się ten numer? Nie mogę nigdzie go znaleźć.

Lady Franklin. Myślę że jest w moim pokoju. Czy ci go poszukać?

Sir John. Moja droga siostro, jesteś najlepszą w świecie kobietą. Poszukaj proszę!

(wychodzi Lady Franklin).

Uf! ty wyrodna intrygantko przeciw własnéj rodzinie! Co to może być za list? A przypominam coś sobie.

(wchodzi Georgiana).

Georgiana. Ojcze, chciałabym...

Sir John. Tak, tak; wiem dobrze czegobyś chciała! Powiedz mi, czyś wiedziała że Klara posłała pieniądze téj staréj niańce Evelyna którą nas nudził w sam dzień otwarcia testamentu?

Georgiana. Nie! dał mi adres, a ja przyrzekłam że...

Sir John. Dałci adres, to całe szczęście pst!

(wchodzi służący).

Służący. Pan Graves, pan Evelyn!

Scena V.

Graves, Evelyn, Sir John, Georgiana, Lady Franklin.

Lady Franklin (wchodząc). Oto jest gazeta.

Graves. Ach! czytasz pani gazety! Wytłómaczą oni z czego świat się składa? Tu wyliczenie oszustw i zła wszelkiego rodzaję, tu ogłoszenia cudownych lekarstw, lichwiarzy, magazynów, centkowanych chłopców o dwóch głowach. Tyle od oszustów do oszukiwanych! Na drugiéj stronnicy, policyjne raporta, ogłoszenia o bankructwach, oszustwach, fałszerstwach, i biograficzny szkic człowieka ze złamanym nosem, który zamordował swoich własnych trzech cherubinków. Czy pani myślisz że to są tylko wyjątki od ogólnéj cnoty społecznéj? Czytaj pani następny artykuł, a włosy ci powstaną na głowie, na widok takiéj przewrotności i ogłupienia téj części społeczeństwa która inaczéj myśli niż pani. Za mojéj pamięci widziałem już ośmnaście krajowych przesileń, sześć upadków rolnictwa i handlu, pognębienia kościoła, trzykrotne krańcowe, straszliwe, nie do naprawienia zburzenie konstytucyi. Oto co są gazety!

Lady Franklin. Ha, ha! zwykły pański zapał! Zawsze dowcipny i w dobrym humorze!

Graves (marszcząc się bardso zagniewany). Pani ja w dobrym humorze!

Lady Franklin. A! powinienbyś pan zawsze się tak uśmiechać; wyglądasz pan o tyle młodszy... o tyle przystojniejszy. . kiedy się uśmiechasz!

Graves (ułagodzony). Pani, (do siebie) zachwycająca istota, daję słowo!

Lady Franklin. Nie czytałeś pan ostatniego numeru Humorysty? Doskonały, pewna jestem że rozśmieszyłby pana: A jednak nie sądzę żebyś mógł się śmiać i weselić.

Graves. Pani, nie śmiałem się od czasu śmierci mojéj świętéj Ma..

Lady Franklin (przerywając mu). Ach! a ten zawistny Sir Fryderyk mówi, że się pan nie *możesz* śmiać, bo... ale się pan rozgniewasz?

Graves. Gniewać się! a to za co? Zanadto gardzę Sir Fryderykiem żeby mnie dotknąć mogło cokolwiekby powiedział! A zatem on mówi że się śmiać nie mogę? bo ..

Lady Franklin. Bo straciłeś... ząb na przodzie!

Graves. Ząb na przodzie? Na moje słowo! ha! ha! ha! to nieocenione, doskonałe, ha, ha, ha!

(śmieje się serdecznie).

Lady Franklin (śmieje się także).

(Oboje odchodzą do stołu w głębi salonu).

Evelyn (na str.), Naturalnie Klara się nie pokaże! Unika mnie jak zwykle! Zresztą, cóż mnie to obchodzi? Czemże jest ona dla mnie? Niczem! Przysiągłbym że to jéj rękawiczka tu leży, nikt nie ma tak małéj jak ona rączki. Będzie jéj szukać, tak będzie szukać! Nikt nie widzi, wezmę rękawiczkę żeby jéj dokuczyć.

Sir John (do Georgiany). No, no, już mnie to zostaw: zrobiłaś jego portret jak ci mówiłem?

Georgiana. Zrobiłam, ale nie mogłam uchwycić podobieństwa. Prosiłam Klary żeby mi go poprawiła.

Sir John. Ta dziewczyna zawsze sobie umie poradzić!

(Wchodzi Kapitan Dudley Smoth).

Kapitan. Dzień, dobry Jasiu. Ach! miss Vesey, nie wyobrazisz sobie pani ile tryumfów odniosłaś na wczorajszym balu!

Evelyn (patrząc na niego ciekawie podczas gdy rozmawia z Georgianą). A więc to jest ów sławny Dudley Smorth!

Sir John. Tak, on sam. Najlepszy gracz na naszéj półkuli w wista, écarté, bilard, i pikietę! Piękne ułożenie! każdego nazywa po imieniu. Ale uważaj grając z nim w karty!

Evelyn. Nie oszukuje przecież?

Sir John. Fe! co znowu! ale zawsze wygrywa! Zjada kilku lordów i kilkunastu gwardzistów w każdym sezonie, i rozbija majątek człowieka tak łatwo i prędko jak kto inny odbywa leczenie Karlsbadzkie. Nadzwyczajnie zręczny chłopiec!

Evelyn. Zręczny! zapewne! kiedy kto ukradnie bochenek chleba, krzyczymy że złodziéj, kiedy zaś odwróci strumień od młyna sąsiada żeby zemleć swoje zboże, nazywamy to zręcznością. I wszyscy są jak najlepiéj z kapitanem Dudleyem Smorth?

Sir John. A któżby go chciał obrażać? Z dobréj familii, najgrzeczniejszy człowiek w świecie! Zręczniejszego odeń nie ma w połączonych trzech królestwach.

Evelyn. Studyum! ciekawe studyum! pozwól mi pan przypatrzéć mu się zbliska. Tacy ludzie są żyjącą satyrą światowych stosunków.

Kapitan (kładąc rękę na ramieniu Sir Johna). Mój kochany Jasiu, jak doskonale wyglądasz, odmłodniałeś prawdziwie. Bądź tak dobry i przedstaw mnie panu Evelyn.

Evelyn. Panie jest to zaszczyt którego pragnąłem oddawna.

(obaj skłaniają się i podają sobie ręce).

(Wchodzi Sir Fryderyk Blount).

Blount. Dzień dobry Sir John? Ach! Evelyn tak pragnąłem cię widziéć.

Evelyn. To właśnie moje nieszczęście że nie jestem niewidzialny!

Blount. Chciałem z tobą pomówić. Wiesz może, że dawniéj starałem się o Miss Vesey; ale od czasu tego oryginalnego testamentu, Sir John odsunął mnie, dając do zrozumienia, że Miss Vesey ma jakieś dawniejsze uczucie, (do siebie) co wiem że jest fałszem.

Evelyn (spostrzegając Klarę wchodzącą). Dawniéjsze uczucie. (do siebie) Ach! Klara! innym razem pomówimy o tem, mój kochany.

(Klara wchodzi).

Blount. Jeszcze chwilę. Potrzebuję twojéj pomocy co do Miss Douglas.

Evelyn. Miss Douglas.

Blount. Właśnie; otóż widzisz, chociaż Georgiana ma wielkie widoki na przyszłość, bo skąpy Jack zostawi jéj wszystko co zebrał, jednak w obecnéj chwili ma tylko swój zapis na 10,000 ft. Klara ma 20,000. I zdaje mi się że Klara zawsze mnie trochę lubiła.

Evelyn. O tak! i ja myślę że cię lubiła!

Blount. Podobno ty myślisz oświadczyć się o Georgianę, a Sir John daje wyraźnie do zrozumienia, że ty właśnie jesteś przedmiotem jéj dawniejszego uczucia!

Evelyn. Doprawdy!

Blount. Teraz, kiedy jesteś tak dobrze widziany w całéj rodzinie, gdybyś mógł powiedzieć słówko za mną Miss Douglas, byłbym ci wielce obowiązany. (na str.) Ukarzę Georgianę za jéj zdradę.

Evelyn. Do dyabła mów sam za siebie, człowieku! Posiadasz wszystkie dane do tego żeby cię

młode panny kochały, rozumieją cię doskonale, jesteś równéj miary z niemi. Za skromny jesteś, z twojemi zaletami nie potrzeba ci pośrednika!

Blount. Mój drogi chłopcze, pochlebiasz mi. Co prawda, jestem dość dobrze widziany, ale wiesz dobrze, że możesz swojem pośrednictwem zrobić co zechcesz! Jesteś tak niesłychanie bogaty!

Evelyn (zwracając się do Klary). Miss Douglas co pani myślisz o Sir Fryderyku Blount. Przyjrzyj mu się pani. Jest dobrze ubrany, młody, dostatecznie ładny. (Blount kłania się) kłania się z takim wdziękiem, umie rozmawiać choćby o niczem, ma wszystkie warunki żeby się podobać. Jednak przypuszcza, że gdybyśmy obaj, on i ja, starali się o jedną osobę, jabym został wybrany, dla tego żem bogatszy. Cóż pani na to mówisz? Czy miłość jest towarem co się przez licytacyą sprzedaje, i czy serca kobiet oddają się więcéj dającemu?

Klara. Serca? Nie.

Evelyn. Ale ręka? Odwracasz się pani. Nie śmiesz odpowiedzieć na moje zapytanie!

Georgiana (na str.). Sir Fryderyk nadskakujący Klarze? Ukarzę go za jego zdradę! (do Evelyna) Pan przynajmniéj nie masz prawa tego mówić panie Evelyn! Pan którego bogactwo jest najmniejszą z zalet, którym się wszyscy zachwycają pańskim rozumem, zdolnościami, talentami! Ach! doprawdy, jestem bardzo nieuważna!

Sir John (uderzając Evelyna po ramieniu). No no, tylko nie zawracaj główki mojéj dziewczynce. Niebezpieczny z ciebie człowiek. Ale, ale, muszę ci téż pokazać ostatnie rysunki Georgiany. Znakomite zrobiła postępy od czasu jakeś jéj dawał lekcye perspektywy.

Georgiana. Nie ojcze, proszę nie pokazuj, bardzo cię proszę!

Sir John. Co za niedorzeczność! To dziwne, ale ona więcéj się boi ciebie niż kogokolwiek bądź w świecie!

Kapitan (do Blounta zażywając tabakę). Do skonały ojciec z naszego kochanego Johna! w zupełności zastępuje córce miejsce matki.

(odwraca się do Lady Franklin i pana Graves)

(Evelyn i Georgiana siadają obok siebie i oglądają rysunki, Sir John krąży koło nich. Sir Fryderyk rozmawia z Klarą; Evelyn spogląda ciągle ku nim).

Evelyn. Bardzo piękny ten widok z Tivoli. (na str.) niech go dyabli porwą! tego głupca! Klara spuszcza oczy kiedy on do niéj mówi! (głośno). Zdaje mi się że tu jest pewne uchybienie w kolorycie? (na str. patrząc ku Klarze) rumieni się widocznie. (głośno) Ale za to ten Jowisz jest prześliczny. (wstaje na str.) Och! nie ma wątpliwości że ona go kocha, ale ja też mogę być kochany przez kogo innego, i ja mogę widzieć uśmiechy i rumieńce na czyjejś twarzy!

Georgiana. Czy panu nie dobrze?

Evelyn. Nie pani. Rzeczywiście, zrobiłaś pani wielkie postępy. Któżby się mógł porównać, z pani talentem.

(bierze do ręki rysunek i przygląda mu się z najgłębszą uwagą).

Klara. Tak Sir Fryderyku, bardzo liczny był koncert! (na str.) Ach! widzę że Georgiana pociesza go po przeszłości! Pochwały dla niéj dla mnie obelgi tylko!

Blount. Chciałbym żebyś pani przyjęła moją lożę na operę w przyszłą sobotę, najlepszą lożę w całym teatrze. Nie jestem bogaty ale to co mam wydaję na siebie! Przyjąłem za zasadę żeby wszystko co mam, mieć jak najlepsze. Najlepsza loża w Operze, najlepsze psy, najlepsze konie, najlepszy dom jaki mieć można. Teraz do uzupełnienia tego wszystkiego potrzeba mi już tylko żony, najlepszéj żony!

Klara (z roztargnieniem). Znajdzie się i to z czasem, Sir Fryderyku.

Evelyn (na str.). Znajdzie się i to z czasem. Georgiana odrzuciła głupca, a ona... ona go kokietuje. (biorąc do ręki jeden z rysunków Georgiany) A to co jest? Mój własny...

Georgiana. Ach! nie oglądaj pan, proszę na wszystko, nie oglądaj. Nie wiedziałam że on tu jest!

Sir John. Twój własny portret Evelyn. Ale nie wiedziałem moje dziacko, że tak chwytasz podobieństwo, to coś nowego dla mnie. Bardzo podobny!

Georgiana. O! nie, nie podobny wcale. Oddaj mi go pan; podrę go... (na str.) Niegodziwy Sir Fryderyk!

Evelyn. Nie, nie podrzesz go pani.

Klara (do siebie). Tak więc, tak... kocha ją! Nieszczęście, nieszczęście! Ale przynajmniéj nic nie spostrzeże, o! nie! za dumna jestem na to. (do Fryderyka) Ha, ha, ha! Sir Fryderyku, nieoceniony pan jesteś!

(śmieje się z przymusem).

Evelyn. Przesadzona kokietka. Nawet śmiać się naturalnie nie umie.

(Klara spogląda na niego z wyrzutem i odchodzi w głąb sceny z Sir Fryderykiem).

Evelyn (do Georgiany). Ale gdzież jest ta gitara którą pani zamierzałaś kupić, miss Vesey, ta wykładana szyldkretem? Blisko rok już jak pani o niéj myślisz. a dotąd jéj nie widzę!

Sir John (biorąc go na bok z tajemniczą miną). Gitara! Jeźli ci mogę powierzyć sekret, Georgiana użyła pieniądze które jéj na to dałem na jakiś dobry uczynek, kilka miesięcy temu, tego samego dnia właśnie kiedy testament został otwarty. Widziałem list z pieniędzmi leżący na stole, ale pamiętaj, ani słowa do niéj o tem, nigdyby mi nie przebaczyła żem zdradził jéj tajemnicę.

Evelin. List! z pieniędzmi! Jakie było nazwisko osoby któréj posłała wsparcie? Czy nie Stauton?

Sir John. Nie pamiętam doprawdy.

Evelin (wyjmując list z kieszeni). Wszak to nie jest jéj pismo!

Sir John. Nie! pamiętam że zwróciłem wówczas uwagę na to że list nie był jéj ręką napisany, alem się dowiedział od niéj, że nie życząc sobie żeby się rzecz ta wydała, dała komuś do przepisania. Czy mogę przeczytać ten list? Tak zdaje mi się że ten sam. Ale nie powiedziałem ci przecież dla kogo to było zrobione, przyrzekłem Georgianie że nie powiem. Jednakże, zkądby ona wiedziała adres Stautonowéj? Przecież nie dałeś mi go nigdy!

Evelin. Ale dałem go jéj, Sir John.

Klara (w drugim końcu pokoju). I owszem będę na operze jeśli tylko Lady Franklin zechce. Wszak pani nie odmówisz, prawda? Do soboty więc Sir Fryderyku.

(Blount wychodzi).

Evelyn. Sir John, dla człowieka takiego jak ja, ten jeden postępek wart więcéj niż wszystkie przymioty światowe. Dobre serce, tkliwy charakter, miłosierdzie kryjące się przed ludźmi, skromność która się rumieni na oddawane jéj pochwały, pociąg do czegoś wyższego niż blask i używanie i oto właśnie przymioty, które stanowią piękność nie więdnącą nigdy. Tych szukałem w osobie którą chciałem wybrać za towarzyszkę i znalazłem je... niestety! nie tam gdzie marzyłem! Miss Vesey, chcę być uczciwym względem pani, powiem więc szczerze, (podnosząc głos i patrząc prosto na Klarę która się ku niemu zbliża) żem kochał inną, głęboko, prawdziwie, szalenie, bez wzajemności! Nie mogę dać tobie pani, tak jak jéj dałem, pierwszéj miłości młodego serca, zdobnéj w czarowne barwy i blaski, ale jeżeli szacunek, wdzięczność, silne postanowienie wygnania z serca uczucia któreby mogło zaćmić twój obraz, jeżeli to może ci wystarczyć i zechcesz pani przyjąć moją rękę i majątek, życie moje całe poświęcę ażeby stać się godnym twego zaufania.

(Klara stoi bez ruchu z załamanemi rękami i osuwa się powoli na krzesło).

Sir John. Najpiękniejszy dzień w mojem życiu.

(Klara pochyla się na poręcz krzesła).

Evelyn (rzucając się na przód sceny na stronie). Zbladła, bliska jest omdlenia. Cóżem uczynił? O nieba! Klaro!

Klara (podnosząc się z uśmiechem). Bądź szczęśliwym kuzynie, bądź szczęśliwym. Tak... z głębi serca mówię ci... bądź szczęśliwym Alfredzie!

(*d. c. n.*)

Korespondencya zagraniczna.

(Dalszy ciąg).

Nie mogę pominąć nowego dzieła „*Podróż do Arabii, Egyptu i Indyj*“ napisanego przez mistres Burton, małżonkę znanego kapitana Burton, która towarzyszyła mężowi w wielu jego podróżach. Naturalnie wrażenia jéj różnią się od poważnego zapatrywania się kapitana. Nader zajmująco opisuje mistres Burton kopalnie Golkondy, niegdyś tak bogate a dziś zniszczone i opuszczone. Zadała sobie nadzwyczaj wiele trudu aby poznać prawdziwą historyę koh-i-noor'a, tego prześlicznego brylantu, o którym tyle rozpowiadano bajek. Otóż mówi że koh-i-noor znaleziony został w kopalniach Golkondy w 1650 r. a według zabobonnej wiary krajowych proroków, niósł on światu przekleństwo od 250 ostatnich lat. Siedmnastu posiadających go królów Indyi, wszyscy upadli i wszyscy niemal gwałtowną zginęli śmiercią. Po zdobyciu Pendżabu w 1849 r. brylant ten dostał się w ręce Anglików i został ofiarowany królowéj Wiktoryi, w lipcu 1850 r. Kamień ten takie przerażenie budzi w Hindusach, iż domagają się koniecznie aby go darowano nieprzyjaciołom Anglii: nie zdaje się aby królowa Wiktorya uczyniła zadość ich żądaniu.

O Indyach mistres Burton pisze że „są śmiertelnie powolne i ociężałe. Aby je wydźwignąć z upadku i biedy, potrzebaby nader energicznéj działalności cywilizacyjnéj; Indye zatopione są w próżniactwie i bezczynności i oburzają się na wszystkich pragnących skłonić ich choćby do najlżejszéj pracy i działalności. Sama Anglia zbankrutowałaby w tydzień, przy podobnéj administracyi.“

Część polityczna pisana jest pod wpływem kobiecéj wrażliwości. Przeraża autorkę ciągłe posuwanie się Rosyi ku Chinom; przewiduje zarazem iż niezadługo Rosyanie zniewoleni będą zająć Kaszgar, co narazi ich na ciężkie zawikłania z Chinami. Powiadają, że niezbyt dawno, jakiś jenerał rossyjski miał się wyrazić „że byłoby to prostem morderstwem wojować z wojskiem chińskiem innemi kulami jak pomarańcze“ a jednakowoż, choć ze zwykłą sobie powolnością ale i rozwagą zapewniającą powodzenie, Chińczycy przysposabiają się do wywierania przeważnego wpływu na świat cywilizowany. Naród ten złożony z trzystu milionów jednostek zaciążyć może niedługo całą siłą inteligencyi, chytrości i wiekami nagromadzonéj cierpliwości, nad innemi trzema częściami rodzaju ludzkiego. Po stu przeszło porażkach. Chiny zdołały jednak w końcu wy-

tępić odszczepieństwo muzułmańskie w Yamanu; tak samo postąpią w Kaszgarze, choć zbyt powolne ich działanie niepojętem jest dla Zachodu i wytwarza fałszywe pojęcie o ich apatyi. Budują flotę, armia wyćwiczona jest przez oficerów europejskich, a żołnierze wybornie już umieją posługiwać się karabinami Remingtona. Jest już obecnie w Chinach sześć działolejni. Znając potęgę jakiéj dosięgną w blizkiéj może przyszłości, Chiny unikają obecnie małych wojen z Anglią lub z Francyą, nie chcą stawiać czoła nieprzyjacielowi, zanim nie urzeczywistnią warunków przewidzianych jeszcze w 1842 r. przez niektórych dowódców wojsk sprzymierzonych, a poczytywanych wówczas za fantastyczne urojenia... I takie to mocarstwo, mówi mrs Burton, prasa francuzka i angielska skazuje na poświewisko i zaniedbanie. Dowodzenia te swoje opiera na zdaniu swego męża.

Najlepsze z nowych powieści wyszły z pod pióra po za Atlantyckiego autora, który chciał dać poznać Europie prawdziwy charakter tych pięknych turystek, które zdają się w tym jedynie celu przepływać Ocean, aby drażnić przesądy staréj cywilizacyi w krajach które zwiedzają. Dwa najnowsze romanse Henryka-James-Junior, p. n. *Daisy Miller* i *An International Episode*, są to bezpretensyonalne nowelle, każda zawarta w jednym tomie, ale zawierają w sobie istne skarby prawdy, filozofii i głębokiego uczucia, jakich daremnieby szukał w wielu kilko tomowych utworach. *Daisy Miller* to dzieje dziewczyny pięknéj, uroczéj, bogatéj, opuszczającéj swą wioskę na Zachodzie, gdzie ojciec jéj dorobił się kolosalnego majątku, aby odbyć podróż po Europie. Nie znając potęgi przesądów rządzących starym światem, Daisy drażni je nieustannie, i niczem rzeczywiście nie zawiniwszy, nawet w Rzymie zostaje wykluczoną „z dobrego towarzystwa.“ W najniewinniejszéj myśli puszcza wodze wybrykom młodéj dziewczyny, a do tego Amerykanki, i nareszcie umiera na malarią jakiéj nabawiła się wśród nocnéj wycieczki z jakimś włoskim awanturnikiem, w którym nietylko nie kocha się i nie myśli zaślubić, ale nawet nie pragnie zawrócić mu głowy.

W *An Internatonal Episode* autor przedstawia inny znów typ młodéj dziewczyny, pochodzącéj z najwyższych sfer amerykańskich „the upper ten thousand“ nadającéj całemu narodowi prawa zachowania się, grzeczności i przyzwoitości. Powodowana litością nad młodzieńcem dobrego rodu, obdarzonego od natury wszelkiemi przymiotami i wielkiemi zdolnościami, ale który skutkiem przesądów pańskiego wychowania, ogranicza się na odgrywaniu roli modnego panicza, za daleko posuwa „flirtowanie“ (flirtation). Ciężar wysokiego urodzenia i 100,000 funtów szterl. rocznego dochodu stłumiły w młodzieńcu wszelkie wznioślejsze porywy, wszelką szlachetną ambicyą. Rzecz prosta, matka młodego człowieka, posądza amerykańską republikankę iż pragnie usidlić jéj syna, który nareszcie szalenie się w niéj zakochał: ale młoda dziewczyna ochłonąwszy z mentorskiego zapału, odrzuca rękę arystokraty i wyjeżdża do Paryża, budząc zarazem podziw i oburzenie wysokiego londyńskiego towarzystwa.

Oba te utwory są bardzo dobre i zajmująco napisane.

(d. n.)

Kronika Paryzka.

(Dokończenie).

W usposobieniu jednak braci, zachodziła pewna różnica: starszy Gianni chciał być prawdziwym artystą w obranym zawodzie; dążył do przewyższenia najznakomitszych współzawodników, pracując ustawicznie nad wynalezieniem nowego skoku dotychczas nieznanego; młodszy Nello, choć prawie równie zdolny, nie posiadał zapału starszego brata, a przedstawienia dawane w warunkach nader niebezpiecznych, dawały mu przeczucie smutnego końca.

Miłość bratnia w sercu Gianniego, przewyższyła wszelkie podszepty samolubstwa: w ułożonem arcydziele zręczności, Nello miał nadane ważne znaczenie, zwracające ogólną uwagę, chociaż główny ciężar pracy spadał na brata starszego.

Autor daje szczegółowy opis zrobionego wynalazku przez zapalonego akrobatę, użyte jednak obficie wyrażenia techniczne czynią przekład niepodobnym; nie posiadamy i prawdopodobnie nigdy nie będziemy posiadać różnych zwrotów, właściwych przedstawieniom cyrkowym.

Wskażemy tylko jedno ogólne ich piętno. Uwaga widzów poruszoną jest w stosunku prostym do zarysowanego niebezpieczeństwa w odbywanym skoku; Gianni chcąc być jedynym w zawodzie przez siebie obranym, uczynił niebezpieczeństwo groźniejszem, które jednak dla niego było igraszką tak pewnym był swéj zręczności.

Wykonane próby w cyrku paryzkim, gdzie dwaj bracia zawezwani byli, udały się jak najpomyślniéj: dyrektor zacierał ręce z radości, nie wątpiąc o wzbudzeniu zajęcia całego Paryża, a tem samem o obfitem źródle dochodów spływających do kasy. Przewidywania te sprawdziłyby się z wszelką pewnością, gdyby nie jedna okoliczność, niwecząca pomyślne następstwa tak pracowicie ułożonego dzieła.

Niewinną przyczyną zawodu był Nello. W charakterze pajaca, obowiązanym był do różnych dowcipów i żartów, najczęściéj kosztem własnych towarzyszów. Rzecz to przyjęta w gronach akrobatów, mających głównie na celu zabawę zgromadzonéj publiczności, bez względu na użyte środki. Na nieszczęście jedna z tancerek konnych, Amerykanka z pochodzenia, była nadzwyczajnie drażliwą w téj mierze, i postanowiła się zemścić. Nowy skok wynaleziony przez Gianni, nastręczył jéj upragnioną sposobność.

Przyrząd od którego zależało bezpieczeństwo dwóch braci, został nadwerężonym przez niegodziwą tancerkę; na dany znak, skoro Nello rzucił się w przestrzeń na wysokość kilkunastu stóp, a Gianni miał go przyjąć w swe ramiona, obydwa upadli na ziemię: starszy brat bez uszkodzenia, młodszy ze złamanemi obydwoma nogami.

Nello zniewolonym był porzucić cyrk, który polubił w miarę rozwoju swego talentu; środek zarobku był mu odjętym, poczciwy jednak brat zaspakajał wszelkie jego potrzeby, i z tego względu nie doznawali najmniejszego kłopotu. Od czasu jednak owego wypadku, Nello żył wśród ustawicznych tortur moralnych, nie ze względu na los własny, ale na przyszłość brata. Gianni rzeczywiście nie zrażony doznanem przez brata tak wielkiem nieszczęściem, przybierał w swym zawodzie postawę coraz śmielszą i coraz bardziéj przedsiębierczą.

Raz w nocy usłyszawszy szmer w sąsiedniéj stancyi, gdzie była urządzona pracownia Gianniego, Nello podpełzał do progu dzielącego mieszkanie na dwie części. Zastał tam brata zajętego wśród ciszy nocnéj, wykształceniem nowego skoku, równie zajmującego jak poprzedni, ale może jeszcze więcéj niebezpiecznego. Pomimo całéj siły woli, nie mogąc zawładnąć wzruszeniem, Nello począł szlochać, tłumiąc jęki wychodzące z piersi. Gianni jednak usłyszał cichy płacz, przerwał odbywane ćwiczenia, a dostrzegłszy brata na ziemi zrozumiał położenie. Bez jednéj chwili wahania obalił rusztowanie, zrucił liny posługujące do skoków, a nie wymówiwszy ani jednego wyrazu, pochwycił w objęcia chorego brata. Gianni wyrzekł się ulubionego zawodu i zdobytéj sławy, i tak lubiący zwracać na siebie uwagę widzów, został wraz z bratem zwykłym grajkiem, w szeregach orkiestry cyrkowéj.

Powieść ta, któréj treść staraliśmy się podać w skróceniu o ile możności największem, zwróciła na siebie ogólną uwagę w Paryżu. W ostatnich czasach ukazało się wiele powieści usiłujących, z mniejszym lub większym talentem, obrazować życie różnego rodzaju akrobatów. Po większéj części jednak, przedstawione były czarne strony, pan de Goncourt jeden ośmielił się dotknąć strony odwrotnéj i z zadania swego nader trudnego, wywiązał się z zupełnem powodzeniem.

Przegląd literacki.

(Dalszy ciąg).

Z kolei należy się wzmianka pracy historycznéj p. Stanisława Smolki p. t. „Polska w obec wybuchu wojen husyckich.“ Wiadomo że gdy w Czechach w wieku XV powstała opozycya przeciwko kościołowi rzymskiemu i niektórym dogmatom, w myśl poprzedniéj nauki Wiklefa w Anglii i późniejszéj Lutra w Niemczech, a zwłaszcza po spaleniu na stosie promotorów tych nauk Jana Hussa i Hieronima, opór Czechów przeciwko katolicyzmowi stał się zarazem walką narodową z katolickiemi Niemcemi. Sąsiednia Polska podlegała wpływowi owych nauk i nie mogła ustrzedz się pewnego udziału w sprawach czeskich, z któremi musiała rachować się polityka ówczesnych kierowników Polski i Litwy, Jagiełły i Witolda. Synowiec Jagiełły Zygmunt Korybut, obrany królem czeskim, brał udział przez czas krótki w owych walkach, następnie korony czeskiej sobie ofiarowanéj nie przyjął Jagiełło; pożądał zaś jéj podobno Witold.

Ten to ustęp z dawnych dziejów obrał sobie za cel studyów p. Smolka, posiłkując się pracą p. Prochazki, w Rozprawach Akademii Krakowskiéj wydrukowaną i innemi źródłami. Szkic ma wielkie zalety i wygląda niemal jak obraz zupełny, bogaty w wyczerpujące niemal szczegóły faktyczne i osobliwie ciekawe zarysy dyplomatycznych rokowań i intryg. Niekiedy tylko dostrzegamy za wiele doktrynerstwa, przypisującego działaczom XV wieku plany i myśli, na które ci możeby zdobyć się nie potrafili; czasem autor grzeszy wielomównością.

Na pochwałę jednak zasługuje i to jeszcze, że autor w ogólnéj ocenie wypadków i zabiegów dyplomatycznych uniknął poglądów ze stanowiska dzisiejszego, wolnomyślnego. Gdzie niegdzie tylko natrafiamy na odgłosy czy zarody podobnych poglądów, dość prędko zresztą przez samego autora stłumione, pomimo to jednak niekiedy pewną niezgodnością z innemi samegoż autora zdaniami rażące. Tak np. na początku autor powiada że husytyzm „podniósł wysoko sztandar słowiański“ a wnet potem, że był tu ton fałszywy, wydobywający się z kwestyi religijnéj, co nie przeszkadza autorowi stwierdzić że „źródłem husytyzmu była wojna wypowiedziana

stosunkom kościelnym," podniesienie kwestyi o stosunku państwa do kościoła, która to kwestya, według autora, była także na czasie i w Polsce ówczesnéj. Nam się zdaje, że w ogólności historycy nowsi, zwłaszcza panslawiści, przesadzają ów narodowy charakter husytyzmu. Zapewne, w późniejszym rozwoju walk husyckich, skoro głównymi wrogami husytyzmu byli Niemcy, w charakterze katolików raczéj niż jako Niemcy, więc tem samem obrońcy husytyzmu musieli zostać wrogami Niemców, już nietylko jako katolików, ale wrogami wszystkiego co niemieckie, jak i Niemcy, ze swojéj strony tępiąc Czechów, jako heretyków, znienawidzili w następstwie wszystko co czeskie. Źródłem jednąk i początkiem była kwestya religijno-kościelna, która, jak wiadomo, w czasach średniowiecznych i nowożytnych doprowadzała i doprowadza, niestety, do walk najzaciętszych i krwawych.

Podobno więc pierwsi założyciele husytyzmu, Jan Hus i Hieronim myśleli najwięcéj o religii, a prawdopodobnie i późniejsi przywódzcy, walcząc przeciwko Niemcom, jako przeciw katolikom, nie mieli tych planów, widoków i zamiarów, które podsuwają im dzisiejsi doktrynerzy i panslawiści.

Wówczas ludzie mordowali się wzajemnie, palili wsie i miasta, napełniali zgliszczami, ruiną i nędzą całe kraje pod hasłem zbawienia: były to bowiem czasy, kiedy ludzie nie wątpili o potędze wiary i śmiertelną napełniała ich trwogą myśl że za używanie lub nieużywanie kielicha przy komunii, za oddawanie lub nie oddawanie czci obrazom świętych, za takie lub odmienne pojmowanie ustępu pisma św. grożą im wieczne męki piekielne. Z téj to trwogi niemniéj jak z fanatyzmu (rozumiejąc przez ten ostatni gwałtowne zmuszanie innych do swoich przekonań) wypłynęły wszystkie te krwawe czyny, któremi splamili się wyznawcy Chrystusa pod hasłem religii miłości i pokoju. Tak więc żywioł kościelno religijny był w kwestyi husyckiéj zasadniczym. Co się tyczy Polski ówczesnéj, nie zdaje się nam, ażeby wówczas, za Jagiełły, ważyła się kwestya stosunku państwa do kościoła: stosunek ten był oddawna ustalony, jeszcze w wiekach XI i XII, w kierunku przewagi duchowieństwa w sprawach nietylko kościelnych ale i świeckich. Przewaga ta w wiekach następnych ulegała nieznacznym i krótkotrwałym zmianom i oscylacyom, ale nigdy (wyjąwszy niedługi okres reformacyjny za Zygmunta Augusta) ani król ani naród w zasadzie nie powstawał przeciwko wpływowi kościoła, zupełnie zgodnego z duchem czasu, z ustrojem ówczesnego państwa i z usposobieniem narodu.

Słusznie powiada autor że nowinki husyckie nie miały dla siebie gruntu religijnego w Polsce ówczesnéj, a że nie miały również gruntu politycznego, gdyż idea łączności plemion słowiańskich, przypadkowo tylko i na chwilę tu i owdzie na praktyce urzeczywistniana, nie postała jeszcze wtedy w żadnym umyśle, wypada więc że Polsce zgoła nie wypadało mieszać się do spraw husyckich w Czechach, chyba tylko dlatego, żeby na Niemcach coś wytargować dla siebie. Dlatego to właśnie upadły mrzonki Witolda, który marzył o unii może więcéj religijnéj niż politycznąj, dlatego ostatecznie w stosunku Polski do Czech wzięła przewagę polityka Zbigniewa Oleśnickiego, zgodna z powyżéj nakreślonym stosunkiem Polski do husytyzmu.

P. Smolka chwali tę politykę w następujących słowach: „skoro unia polityczna z pobratymczym narodem niemożliwą była wówczas rzeczą, to każdy musi przyznać że Zbigniew, chroniąc Polskę od husytyzmu, olbrzymią sobie zdobył zasługę. Anarchia, która trawiła Czechy, a tkwiła w rewolucyjnym, socyalnym pierwiastku husytyzmu, przeszczepiona na grunt polski, byłaby smutne musiała wydać owoce, kiedy młodzieńczej Polsce trzeba było hodować się i przeobrażać w państwo nowożytne. *Z jakiegokolwiek więc patrzałby kto stanowiska* na religijną stronę husytyzmu, niechaj czołem uderzy przed Oleśnickim." Te ostatnie wyrazy nie bardzo są zgodne z poprzedniemi, gdzie autor każe uważać Oleśnickiego „za zbawcę narodu" tym tylko, którzy zapatrują się na rzecz ze stanowiska katolickiego (marzec str. 462); niezbyt także hołdujemy owéj doktrynerskiéj teoryi, która lubi bawić się w przypuszczenia, gdyby stało się lub nie stało to albo owo; zawsze jednak powyższy pogląd autora, którego z prac poprzednich znamy jako przeciwnika klerykalizmu, pogląd ten można przeciwstawić drugiemu poglądowi tych mianowicie historyków nowéj szkoły, którzy leją łzy nad tym smutnym wypadkiem, że Polska nie przyjęła ani husytyzmu w XV ani reformacyi w XVI wieku i wysilają swą wyobraźnią na odmalowanie szczęśliwości, które byłyby zakwitły w Polsce gdyby została protestancką. Zwrócenie uwagi na anarchiczny i socyalistyczny charakter husytyzmu jest także zasługą autora. Dążność do anarchii i socyalizmu, tak widoczna w krwawych bojach Prokopów i Żyżki, była naturalnym wynikiem zawziętéj nienawiści do Niemców i ich ustroju państwowego i społecznego. Krwawe te dzieje są wstrętną kartą historyi i chyba tylko przez niechęć ku Niemcom, Czesi dzisiejsi okazują takie uwielbienie dla husytyzmu.

Wypada tylko dziwić się że i u nas niektórzy pełni są nabożeństwa do dawnego i do wznawianego dziś w celach politycznych husytyzmu.

Następnie wypada nam powiedzieć o artykule p. Kozłowskiego „Herbert Spencer" streszczającego dzieło tego pozytywisty angielskiego zatytułowane „Pierwsze zasady" (First principles).

W krótkim wstępie sprawozdawca wyjaśnia, że pozytywizm, chociaż potępia metafizykę, poszukującą istoty rzeczy, sam jednak nie jest obcym metafizyce. Wiemy o tem dobrze, gdyż materyalizm jest właściwie teoryą metafizyczną, to jest mrzonką bynajmniéj nie opartą na doświadczeniu, jak o tem błędnie są przekonani niektórzy materyaliści, lecz jednostronnem rozumowaniem, jak się mówi, *a priori*. Otóż i pozytywizm, o ile zapożycza się od materyalizmu, o tyle sam staje się takąż metafizyką *a priori*: ztąd sprzeczność wewnętrzna między wymaganiami ścisłéj trzeźwości i opierania wiedzy na danych zmysłowych a mrzonkami materyalistycznemi po nad wszelkie doświadczenia zmysłowe wykraczającemi. Tak np. gdy pozytywiści drwią z duszy niemateryalnéj i mówią o duszy mózgowéj, gdy prawią o materyi, złożonéj z atomów i t. p. wtedy majaczą *a priori*, bo żaden chemik ani anatom nie wykrył w mózgu duszy, bo niewiadomo nawet co to materya, a istnienie i ruch atomów jest tylko przypuszczeniem metafizycznem, hypotezą materyalizmu.

Téj strony kwestyi p. Kozłowski nie rozumie i dla tego sam wpada w dziwaczną sprzeczność, twierdząc że pozytywiści „docierają do prawd z doświadczenia wprawdzie wyprowadzonych, ale przez doświadczenie nie dających się dowieść" i daléj w tymże sensie szermujące czczą retoryką. Coby to bowiem były za prawdy, nie wyjaśnia i pozostaje niewiadomem, gdyż według najprostszéj logiki to wszystko, co wywodzi się z doświadczeń, daje się *dowieść* doświadczeniem (np. że woda składa się z tlenu i wodoru).

Następuje streszczenie dzieła Spencera, które składa się z dwóch części; pierwsza traktuje „O rzeczy niepoznawalnéj," druga, „O rzeczy poznawalnéj."

W pierwszéj części Spencer, z zupełną słusznością, wykazuje że religia jest niezbędnem uzupełnieniem nauki, że pozbyć się religii człowiek nigdy nie potrafi, że nauka nie jest i nie będzie nigdy doskonałą, że więc powinna także wybaczyć i religii wiele stron ujemnych. Daléj niemniéj słusznie wypowiada autor ubolewanie nad niezgodnością i przeciwieństwem religii i wiedzy i pragnie aby obie były w harmonii; poczem szuka podstaw téj harmonii. W tym celu krytykuje zasadnicze podstawy wszystkich religii, pojęcia o początku świata, o pierwszéj przyczynie, o bezwzględności i nieskończoności i t. p. i z téj krytyki (bardzo pobieżnéj, przeciwko któréj znalazłoby się dużo zarzutów) pokazuje się, że wszystkie te kwestye są *niedostępne* rozumowi. Ależ dopiero co Spencer uznawał potrzebę religii z powodu właśnie *niedostępności* rozumowi wielu prawd, to jest z powodu ułomności wiedzy; teraz zaś wypada że owa pożądana i upragniona religia powinnaby być także *wiedzą rozumową*, skoro jéj podstawy poddawane są krytyce rozumu i krytyki téj nie wytrzymują. Tego jakoś nie rozumiemy. Ale idźmy daléj. Owa tedy niedostateczność zasadniczych podstaw religii ma być właśnie główną *prawdą zasadniczą* wszystkich religii i tym punktem zbliżenia się i zgody, którego poszukuje Spencer dla religii i nauki. Zasadnicza ta prawda brzmi: „potęga, któréj świat jest objawem, jest dla nas całkiem niedostępną." To jest, mówiąc jaśniéj, ponieważ wszystkie religie miały zawsze i mają za przedmiot właśnie ową potęgę najwyższą, powinny więc, ażeby być w zgodzie z wiedzą, wyznać że owa potęga jest dla nas niedostępną i nieznaną, że o Bogu nic nie wiemy i wiedzieć nie możemy. *(d. c. n)*

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ Варшава, 15 Августа 1879 г. Redaktor J. K. Gregorowicz Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Chmielna N. 1530 (20)

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód Nr. 35, r. 1879.

SZALONE OŻENIENIE.

przez

M. A. Fleming.

przekład z Angielskiego

przez J. B.

(Ciąg dalszy).

— Zaraz się o tem przekonamy, zawołała z żywością.

Wysunęła rękę i wyjęła z kieszonki fotografię.

— Przypatrz się pan dobrze i powiedz, czy pana Felicya podobna do téj?

Zatrzymali się przy latarni i Terry przyjrzał się fotografii. Tak, to Felicya i doskonale trafiona.

— I cóż? zapytała niecierpliwie jego towarzyszka.

Oddał jéj fotografię wpatrując się w nią ciekawie.

— Tak, to ta sama Felicya którą ja znam. Trudno byłoby znaléźć drugą twarz podobną, ale ta właśnie, jak już to mówiłem, nie była nigdy w Kanadzie.

— A ja powtarzam że była, odpowiedziała z gniewem. Dla czego mi pan zaprzecza? Ja muszę lepiéj o tem wiedziéć. To bardzo niegrzecznie. Była w Kanadzie, mieszkała w Kanadzie i ja się tam urodziłam.

Zatrzymała się nagle. Zdradziła się pomimowolnie pod wpływem uniesienia. Zacisnęła ręce i spojrzała na niego zmieszana.

— Ja.. ja nie chciałam tego powiedziéć, wyszeptała, ja... nic nie powiedziałam.

— Tak, nic, zupełnie nic, odpowiedział Terry nie mogąc powstrzymać uśmiechu. Jakież to dziecko jeszcze pomyślał, drażliwe, samowolne, ale prawdziwe dziecko.

— O! zaprowadź mnie pan do niéj! zawołała ze łzami w głosie. Już tak późno, tak zimno i taki deszcz pada; nigdy jeszcze nie byłam o téj porze na ulicy z kimś obcym mi zupełnie. Co powiedziałaby na to Joanna? Biedna Joanna.

Z piersi jéj uleciało gorzkie westchnienie, i przysunęła się do niego, jakby przerażona swem osamotnieniem.

— Joanna była pani matką? powiedział Terry. Nie... nie... opiekunką?

— Mniejsza o to czem ona była, odpowiedziała panna Kennedy, obawiając się widocznie aby znów nie powiedziała za wiele. Czy mnie pan zaprowadzi do pani Felicyi, czy téż nie?

— Moje biedne dziecię, pani Felicya już się musiała położyć.

— To wstanie, skoro się dowie kto przyszedł. O! błagam pana, zaprowadź mnie do jéj mieszkania. Ona każe mnie wpuścić jak tylko jéj powiedzą że to ja.

— Skoro się dowie kto jesteś, pomyślał Terry, patrząc na tę twarz delikatną, namiętną, błagającą, i na te ogniste czarne oczy. Ona była w Kanadzie, a ty się tam urodziłaś. Są to szczegóły które Felicya pokrywa najgłębszą tajemnicą. Domyślałem się zawsze że pod pozorem téj nienawiści do Ameryki ukrywało się coś innego. Jestem najsilniéj przekonany że to dziewczę z czarnemi oczyma jest jéj córką.

— Czy mnie pan do niéj zaprowadzi? zawołała wstrząsając z gniewem jego rękę; czy téż jesteś równie złym człowiekiem jak ten Francuz którego powaliłeś na ziemię.

— Równie złym! powtórzył śmiejąc się Terry, a w sercu jego zbudziło się głębokie uczucie litości dla tego tak szczerego dziecka. Nie, moje drogie dziecię, nie; jestem uosobieniem wszelkich cnót rodzinnych i chrześciańskich, i zaprowadzę cię natychmiast do Felicyi. Byleby tylko zechciała przyjąć panią... w przeciwnym razie obmyślimy coś innego. Mój Boże! dodał w myśli, gdyby to niedoświadczone dziecko wpadło w inne ręce!

Dziewczę odetchnęło swobodnie, i z wyrazem żywéj wdzięczności uścisnęło rękę, którą przed chwilą tak silnie wstrząsnęło pod wpływem całkiem innego uczucia.

— Jesteś pan bardzo dobrym, i szczerze żałuję że wyraziłam się tak ostro; ale nie lubię aby mi się sprzeciwiano. Nie lękaj się pan, ona mnie przyjmie, i podziękuje panu żeś mnie do niéj przyprowadził. Jak się pan nazywa?

Terry.

— Tylko Terry?

— Terry Dennison. A pani nazywa się Gordon Kennedy. Trochę niewłaściwe imię dla młodéj panienki.

— Tak, rzeczywiście; ale nadano mi je dla tego że to było imię mojego ojca, Kennedy zaś było rodzinnem nazwiskiem Joanny. Joanna nazywała mnie zawsze Donny.

— A więc nazwisko Kennedy zostało pani przekazane przez Joannę tylko. Wszakże Gordon było tylko chrzestnem imieniem ojca pani, jakże się nazywał.

— Życzyłabym sobie bardzo abyś mi pan nie zadawał tak wiele pytań? odpowiedziała panna Kennedy. Jest to bardzo niegrzecznie tak kogoś wybadywać. Nazywam się Gordon Kennedy, i chcę pójść do pani Felicyi. Więcéj nie potrzebuje pan wiedziéć.

— Bardzo panią przepraszam, rzekł śmiejąc się Terry. Nie zasłużyłem na to połajanie; nie miałem zamiaru obrazić pani. Otóż jesteśmy przed drzwiami Felicyi; światła jeszcze nie pogaszone. Zatrzymaj się pani; dowiem się czy jeszcze można ją widziéć.

Służący Felicyi jeszcze się nie porozchodzili i kamerdyner jéj oświadczył że było niepodobieństwem niepokoić panią o téj porze.

„Proszę tu przysłać pannę służącą, powiedział Dennison rozkazującym tonem, jest to interes ważny, obchodzący samą panią.

Kamerdyner poszedł niechętnie po pannę służącą a Terry wrócił do swéj protegowanéj.

„Czy możesz pani przesłać Felicyi jakąś kartkę, jakiś znak, dla udowodnienia swéj tożsamości; inaczéj nie przyjmie pani.

Panna Kennedy wyjęła z kieszeni list zapieczętowany i podała Dennison'owi

— Joanna wręczyła mi to przed śmiercią, rzekła, i kazała mi oddać pani Felicyi skoro ją zobaczę. Niech jéj pan to pośle, a wszystko będzie dobrze.

Ukazała się nakoniec panna służąca, ale rozespana i w złym humorze.

— Pani nie przyjmuje nikogo o téj porze; już się położyła; niepodobna ją niepokoić; trzeba to odłożyć do jutra.

Terry zatrzymuje ten potok wymowy wsuwając jéj w jedną rękę sztukę złota, a w drugą list.

— Proszę oddać to pani i powiedziéć że panna Gordon Kennedy przyjechała ze Szkocyi i pragnie się z nią widziéć.

Odeszła, a Dennison i młodziuchna jego towarzyszka czekali w milczeniu, jak się to skończy. Czy Felicya ją przyjmie czy téż odtrąci biedną dziewczynę jako oszustkę, usiłującą dostać się do niéj? Upłynęło pięć, dziesięć, piętnaście minut, a panna służąca nie wracała. Poczciwy Dennison zaczął się niepokoić o swą towarzyszkę.

„Czy pani zimno? zapytał troskliwie, widząc że biedna dziewczyna drży cała.

Spojrzała na niego, i znów patrząc na te wielkie, czarne, pełne blasku oczy, sądził że widzi oczy Felicyi.

— Boję się, rzekła drżącym głosem. Co ja zrobię jeżeli ona nie zechce mnie przyjąć? To wielka pani, a ja jestem tak biedna, tak nieszczęśliwa! Może byłabym dla niéj ciężarem. Co się ze mną stanie jeżeli mnie odtrąci od siebie?

— Nie drżyj tak biedne dziecię, w takim razie ja cię nie opuszczę, odpowiedział z wyrazem współczucia. A! przecie służąca wraca!

Wróciła rzeczywiście, a w jéj oczach malowało się najżywsze zaciekawienie.

„Pani prosi do siebie pannę Kennedy. Czeka na nią w swoim pokoju.

Lekki okrzyk radości wyrwał się z piersi dziewczęcia.

„Wiedziałam że mnie przyjmie... byłam tego pewna... powiedziała ze łzami, a potem dodała ujmując rękę Dennison'a. Byłeś pan dla mnie bardzo dobrym! Nigdy, nigdy pana nie zapomnę. Dziękuję panu z całego serca.

Terry uścisnął jéj malutkie, chłodne rączki i odprowadził wzrokiem odchodzącą; potem wyszedł i udał się śpiesznie do hotelu.

„Doprawdy, mówił w myśli, jest to prawdziwie dziwne zdarzenie. Widać że to już zapisane w księdze przeznaczeń, abym miał jakiś udział w sprawach dotyczących Felicyi. Nie wiem tylko czy tem co dziś uczyniłem, zasłużyłem sobie na jéj wdzięczność czy téż na niechęć. Pochodzenie tego dziecka jest wypisane na jego twarzy, chociaż mogłaby także być siostrą Felicyi. Ale nie, to jéj córka. Chciałbym pozyskać nad nią wpływ jakikolwiek, skłonić ją aby przestała wabić do siebie Eryka. Niech się stanie co chce, muszę oderwać go od niéj jakimkolwiek sposobem.

Było już dobrze po drugiéj kiedy wrócił do hotelu. Przez kilka okien wychodziło jeszcze światło, ale w mieszkaniu Eryka było już zupełnie ciemno.

Wkrótce potem Terry pogrążony w śnie głębokim, zapomniał o wszystkiem co go spotkało w ciągu pierwszego wieczora który spędził w Paryżu.

Rozdział VI.

Donny.

Oddalenie się lorda Dynely i Dennison'a stało się jakby hasłem dla innych jéj gości, którzy poszli za ich przykładem. W pół godziny późniéj świeczniki były pogaszone, i Felicya siedziała sama w swym ślicznym saloniku z różowem obiciem, oświetlonym jedną tylko lampą.

Oparła się wygodnie na miękkiéj poręczy fotela, na ustach jéj błąkał się uśmiech zadowolnienia, a oczy miała utkwione w obraz przedstawiający *Zmrok*.

„A więc ma tu przybyć, myślała, i zamyśla ożenić się powtórnie. Ma zaślubić Fanny Forrester, jedną z najbogatszych i najdumniejszych panien w Anglii, jak mi mówiono. Znane jéj są zapewnie dzieje mego życia, i sądzi równie jak on i wszyscy w ogóle, że utraciłam życie wskutek owego wypadku na kolei. Matka jéj była Francuzką urodzoną w Kanadzie, i wychowała ją w zasadach swéj religii, gdyby więc nawet duma jéj nie sprzeciwiała się temu, przekonanie o świętości przysięgi ślubnéj i względ na opinię, nie dozwoli jéj zaślubić człowieka rozwiedzionego wprawdzie, ale którego pierwsza żona jeszcze żyje. A więc znalazłam nakoniec sposób pomszczenia się na nim, którego szukałam tak długo nadaremnie, tak że w końcu zdawało mi się niepodobieństwem abym choć w części mogła mu odpłacić za te męki które mi zadał. Ale teraz trzymam go wreszcie, w ręku, jak Shylock, i zamienię szczęśliwą miłość jego dla téj pięknéj panny w straszną katuszę która szarpać mu będzie serce. Rozłączę ich z sobą, stanę w pośród nich... tak, choćby przez to wszyscy mieli dowiedziéć się wszelkich szczegółów mego życia, choćbym miała wyznać całą prawdę Venturini'emu, którego dotąd oszukiwałam. Tak, rozerwę ten związek, choćbym przez to sama zgubić się miała.

Widać że jakaś myśl nieprzyjemna nasunęła jéj się w téj chwili, bo twarz jéj się zachmurzyła, i jakby dla odpędzenia jéj zapaliła papierosa.

„Będzie to z méj strony wielkie poświęcenie wyjawić wszelkie szczegóły mego życia, i wszystko wyznać księciu. On nie wie nic o mojéj przeszłości, opowiedziałam mu śliczną historyjkę którą ułożyłam w tym celu. Co najwięcéj uważa mnie za zimną, bez serca kokietkę, nie zdolną do uczuć tkliwszych któreby ją mogły sprowadzić z prostéj drogi, i wolną od fałszywéj dumy nie dozwalającéj przyjmować kosztownych prezentów. Prawdę mówiąc, to od czasu jak go poznałam, interesa majątkowe księcia znajdują się w tak smutnym stanie, że widok brylantów i tylu innych bogactw i kosztowności, musi być dość przyjemnym dla jego oczu.

Podniosła w górę piękną swą rękę i zaczęła przyglądać się, błyszczącemi zadowolnieniem oczyma, szerokiéj, złotéj bransolecie, ozdobionéj brylantami.

„Jakże szalonym jest ten młody lord, pomyślała z pogardą, tak szalonym że gotów zrobić największą niedorzeczność dla otrzymania odemnie jakiejś najmniejszéj łaski. A ma młodziuchną żonę, którą jak mówią, opuścił dla mnie i pozostawia samą jedną w *Wielkim Hotelu*. A! te młode mężatki, dodała śmiejąc się; nie pierwsza to już któréj mąż znalazł się u stóp moich w kilkanaście dni po ślubie. To także kuzyn Carylla. Chciałabym aby jego niewierność dla żony i szalone uwielbienie dla mnie, mogło rozjątrzyć jeszcze ranę którą zadam Gordonowi. Gdyby nawet bransolety i inne podobne podarunki nie skłaniały mnie do tego, już to samo wystarczyłoby abym go uwikłała jeszcze silniéj.

Rzuciła papieros i zaczęła zdejmować prędko pierścionki obciążające jéj palce. Wśród nich, tak ukryta że jéj nie było widać, znajdowała się złota obrączka trochę już wytarta przez długie używanie, i ona tylko pozostała na palcu. Felicya utkwiła w niéj ponure spojrzenie.

„Moja obrączka ślubna! wyszeptała z goryczą. Dziwię się saméj sobie że ją noszę tak długo. Już od szesnastu lat nie ma żadnego znaczenia, jest niczem dla mnie... a jednak noszę ją na pamiątkę tych błogich pięciu miesięcy, w których byłam tak szczęśliwą, tak nieograniczenie szczęśliwą, że nigdy już nie doznałam podobnego upojenia, nawet w chwilach gdy odnosiłam najświetniejsze tryumfy. Venturini powiada że nie jestem zdolną kochać. On kocha, biedny stary idyota!... Gdyby mógł widziéć mnie wtenczas!...

Westchnęła smutnie; ręce jéj ciężko opadły na kolana.

„Ach! jak byłam szczęśliwa!... jak go kochałam!... Jakże to dobrą mogłabym być żoną, gdyby tylko chciał był przebaczyć mi i zaufać! Ale odtrącił mnie, odepchnął, czem przywiódł mnie do rozpaczy, prawie do śmierci. Nic go to nie obchodziło... Wtedy poprzysięgłam sobie zemścić się; szesnaście lat czekałam sposobności, przychodzi nareszcie! najodleglejsza droga ma swój koniec — teraz na mnie koléj!...

Zerwała się z krzesła i zaczęła chodzić po pokoju; nagle zatrzymała się przed obrazem, wpatrując się w niego z dziwnym uśmiechem.

„Jakże straszne wstrząśnienie, jak gwałtowna boleść odbija się w téj twarzy... a w czarnych oczach taki wyraz bezgranicznéj rozpaczy!... Czy rzeczywiście taką byłam wtedy?... A, kto wie! Ale cóż w nim było takiego? czemże był dla mnie aby jego utrata wtrącała mnie w taką otchłań rozpaczy?... A! zastanowiwszy się trochę, zapytać trzeba czemże są wszyscy mężczyźni, co w nich jest takiego że kobiety szaleją za nimi lub po ich utracie, skoro wszyscy są tylko zimnymi, bez serca samolubami. Nawet on! on! nie wahał się odtworzyć na płótnie swoją szaloną przeszłość, aby obraz taki sprzedać za drogie pieniądze!...

Podniosła głowę i rzuciwszy na obraz ostatnie niecierpliwe i pogardliwe spojrzenie, opuściła salon. Wszedłszy do swéj sypialni zadzwoniła na pannę służącą i ziewając kazała się rozbierać. Podczas gdy służąca rozczesywała jéj ogromne krucze włosy, Felicya myślała sobie:

„Trzeba tylko starać się tak zręcznie wszystko ułożyć, aby nie zerwać z księciem, szkoda byłoby gdyby mi się wymknął teraz właśnie kiedy ma odzyskać cały majątek... Księżna Venturini! doprawdy piękny to tytuł i dość wysokie w świecie stanowisko dla biednéj śpiewaczki w szynku nowoyorkskim, dla nieszczęsnéj wspólniczki majora Lowell, dla odtrąconéj żony Gordona Caryll. O tak! trzeba koniecznie starać się aby mnie nie minęła tak piękna sposobność, jeżli to tylko możliwe; a książę jest tak okropnie zazdrośny, gdyby tylko dowiedział się że miałam męża, że mam córkę, sądzę iż pomimo że taki zakochany we mnie, porzuciłby mnie niezawodnie."

Wspomnienie córki inny kierunek nadało jéj myślom.

„Co teraz zrobię z tą dziewczyną? Joanna umarła, a ten gbur, mąż jéj, nie chce jéj trzymać; jeżli czegoś nie obmyślę, gotów odesłać ją tu lada dzień... Odpiszę jutro na jego grubiański list, zobowiązując go obietnicą zapłaty, byle nie dopuścił jéj tu przyjechać. Według tego co Joanna pisała o jéj charakterze, gotowaby uciec od niego aby dostać się do mnie."

Skończywszy nocną toaletę swéj pani, panna służąca wyszła a Felicya miała właśnie kłaść się do łóżka, gdy taż wpadła napowrót prędko z zapieczętowanym bilecikiem w ręku. W kilku prędko wypowiedzianych słowach, objaśniła swe nagłe wejście.

„Jakiś wysoki Anglik, blondyn... a! nie mogę wymówić jego nazwiska... ale to jeden z tych panów co byli tu dzisiaj... jest z nim jakaś młoda dziewczyna i koniecznie chcą widziéć się z panią... a ten pan kazał pani to oddać.

— Pan Dennison! zawołała zdziwiona Felicya, z jakąś młodą dziewczyną?...

Mówiąc to spojrzała na adres koperty i zbladła.

„Wielki Boże! pismo Joanny, pomyślała z przerażeniem; czyż podobna aby *ona* już tu była?...

Było to zupełnie możebnem, treść listu nie dozwalał wątpić o tem; to też czytając go twarz Felicyi śmiertelną pokryła się bladością, co u niéj nader rzadkiem było zjawiskiem.

„Zobaczę tę młodą panienkę, rzekła obojętnie, widząc że służąca bystro się w nią wpatruje; Paulino, przyprowadź ją tu, moje dziecko, a potem zaczekaj póki nie zadzwonię, zapewnie będę cię potrzebować."

Służąca wyszła, niepomiernie zdziwiona, a Felicya zarzuciła na siebie ranny szlafroczek, wsunęła małe nóżki w śliczne pantofelki i usiadła w fotelu oczekując na córkę.

Była druga po północy. Szczególniejsza godzina do odwiedzin! i jeszcze przychodzi z Terrym Dennison! co się to ma znaczyć? Jakim sposobem dostała się po Paryża i co z nią teraz robić? Nie widziała jéj już od dziesięciu lat, bo choć Joanna z mężem osiedlili się w Szkocyi, nigdy nie zatęskniła za córką i nie przyszła jéj ochota zobaczyć ją.

Jak jéj pisała Joanna, jest to dziewczyna samowolna, namiętna, uparta, którą tylko łagodnością i przywiązaniem poskramiać można, surowość nic z nią nie poradzi, a w razie silnego oporu, gotowa posunąć się do najrozpaczliwszych wybryków. I przybyła do niéj! co teraz począć?.. Jeźli książę Venturini dowie się prawdy... o! nie, temu wszelkimi sposobami przeszkodzić musi. Trzeba ująć sobie dziewczynę dobrocią i udanem przywiązaniem, a przy pierwszéj sposobności pozbyć się jéj zręcznie na zawsze.

W tejże chwili drzwi się otworzyły i Paulina wprowadziła młodą dziewczynę.

Nastała chwila milczenia, w ciągu któréj matka i córka wzajemnie przypatrywały się sobie. Jakże rażącą tworzyły sprzeczność! Matka, pomimo dojrzałego wieku doskonale zachowała swą nadzwyczajną piękność; miała na sobie wolno puszczony negliż z fiołkowego atłasu, takież złotem haftowane aksamitne pantofelki; spoczywała niedbale na szeslongu; światło lampy padało na jéj piękną twarz; córka w zabłoconéj i wilgotnéj odzieży, czarne włosy rozrzucone w nieładzie, drobna twarzyczka wymizerniona, wielkie ciemne oczy z nieśmiałym i zarazem niedowierzającym wyrazem.

„Zbliż się, moje dziecię, rzekła słodziutkim głosem aktorka.

Dziewczyna się zbliżyła, zarówno przygotowana okazać się pokorną lub dumną, odpowiednio do okoliczności.

Felicya wzięła ją za rękę, przyciągnęła do siebie i pocałowała w szczupłą i zimną twarzyczkę, mówiąc:

„Jesteś Gordon Kennedy?

„A pani jesteś moją matką!

Wymówiła to z pewną nieufnością, gotowa zawzięcie bronić praw swoich.

— Sza! rzekła z uśmiechem Felicya, to moja i twoja tajemnica, której nikt tu nie zna i znać nie powinien. Małżeństwo moje było tajemném, obecnie dawno już zapomniano o niém. Już od bardzo dawna jestem rozwiedziona—ale zapewne wiesz o tém wszystkiem?

— Naturalnie; Joanna powiedziała mi wszystko. Patrzaj!

Odsunęła rękaw i pokazała litery G. C. wypisane w górze ręki indyjskim atramentem.

— Joanna powiedziała mi że to pani naznaczyłaś mnie temi literami, mówiła zawsze jeszcze z nieufnością; kazała mi pokazać ci to, przypomniéć dzień gdy się oddalała i gdyś pani dopełniła tego tatuowania.

— Pamiętam to wszystko dobrze, odpowiedziała z uśmiechem Felicya, nie puszczając zimnéj ręki dziewczęcia. Moje dziecię, jakaś ty zziębła i przemokła; siadaj na tym taborecie i wytłomacz mi jakim sposobem znalazłaś się w Paryżu tak późno i pod opieką pana Dennison.

Gordon Kennedy była posłuszną; z twarzy jéj ustępował powoli wyraz nieufności, ale zawsze jeszcze znać było pewien przymus. Opowiedziała swoje przygody jak najdokładniéj i najszczerzéj.

„Uciekłam z Glasgowa, mówiła śmiało; Joanna umarła a męża jéj nienawidzę. Jest to ordynarny gbur i chciał mnie wybić; za to rzuciłam mu w twarz talerzem i zraniłam go mocno. Powstała z tego szeroka blizna, rzekła wzdrygając się, ale mało mnie to obchodziło—to takie bydlę! Zaraz potém uciekłam i dostałam się do Paryża. Miałam pieniądze które dała mi Joanna; nie wydałam jeszcze wszystkich i mogłabym była wsiąść do powozu i kazać się zawieźć do twojego teatru, ale ulice tak jasno były oświecone i wesołe, sklepy tak piękne, iż wolałam iść piechotą i przypatrywać się wszystkiemu. Zostałam srodze ukarana za moją niedorzeczność; i nie wiem do czegoby przyszło, gdyby pan Dennison nie nadbiegł mi na ratunek. Ach! jaki on dobry i szlachetny! to też bardzo, bardzo go polubiłam.

— Ale nie powiedziałaś mu, moje dziecię, kto jesteś? zapytała z niewymowną obawą Felicya, wysłuchawszy tego zwierzenia.

— Nic mu nie powiedziałam, odrzekła dumnie, wymieniłam mu tylko moje nazwisko, zkąd przybywam, jak zabłądziłam nie znając miasta i że potrzebuję widziéć się z panią. Powiedział mi że cię zna i zaprowadzi mnie chętnie—i otóż jestem.

— Szczególniejsze zdarzenie! rzekła zaniepokojona Felicya, i szczególniejsza z ciebie dziewczyna. No, nie darmo mówią że Opatrzność czuwa nad dziećmi i szaleńcami.

— Nie jestem ani dzieckiem ani szaloną, i bardzo proszę racz pani nie nadawać mi żadnéj z tych nazw, odparła mała złośnica unosząc się.

— Niech i tak będzie, odpowiedziała słodkim głosem Felicya; ale czemu, moje dziecię, gniewasz się na mnie, na twoją matkę?

— Bo widzę że choć podobno jesteś pani moją matką, jednak nie bardzo rada mi jesteś, odrzekła oburkliwie.

— No, widzisz, zadziwiło mnie twoje tak nieprzewidziane przybycie; a potém trzeba żeby nikt nie wiedział że jesteś moją córką; naraziłoby mnie to na wielkie zmartwienia i nieszczęścia.

— A! wstydzisz się mnie pani! zawołała, wstydzisz się, widzę to dobrze. Tyś taka piękna i strojna, a ja taka obdarta i biedna—wszak odgadłam?

— Ach! jakże jesteś prędka i popędliwa! rzekła zawsze łagodnie i z miłym uśmiechem Felicya, nie puszczając jéj ręki. Nie mów tylko tak głośno. Nie wstydzę się ciebie bynajmniéj: jak się ładnie ubierzesz, całkiem inaczéj wyglądać będziesz—jesteś nawet do mnie podobna.

Oczy dziewczęcia zabłysły.

„Czy na prawdę? zapytała żywo. Joanna zawsze mi to mówiła, ale pani jesteś taka piękna, wspaniała—a ja taka chuda, śniada i blada. Wszak pozwolisz mi pozostać u siebie?

— A jakże!... to jest do pewnego czasu, bo chciałabym oddać cię na pensyę; wszak chciałabyś się uczyć, nieprawdaż, Gordon? ale wolę inaczéj cię nazywać...

— Joanna nazywała mnie Donny.

— A więc i ja tak cię nazywać będę. Sprawię ci piękne sukienki i oddam cię na pensyę, ale nikomu, nikomu słówka nie powiesz jakie nas łączą węzły rodzinne. Czytam w twojéj twarzy że umiesz dochować tajemnicy.

— Wystaw mnie pani na próbę, odrzekła dumnie. Choćbym miała umrzéć nie zdradziłabym nigdy tajemnicy którą przyrzekłabym dochować.

A wszak przyrzekasz mi to? Widzisz, Donny, w mojém położeniu, nie mogłabym obecnie publicznie uznać cię za córkę, tu nikt o tém nie wie że miałam męża.

— Dobrze więc, przyrzekam że zastosuję się do twéj woli, odrzekła z prostotą.

— Zostaniesz więc tu na kilka dni, będziesz sypiać w moim buduarze, a mojéj pannie służącéj i służbie powiem że jesteś moją krewną, przybyłą ze Szkocyi. A teraz, ponieważ już bardzo późno i musisz być znużona podróżą, pomogę ci rozebrać się i położyć.

— A czy będę mogła widziéć tego pana który tak dobrym okazał się dla mnie? zapytała na wpół tylko zadowolniona.

— Pana Dennison? czemuż nie, powiesz mu że jesteś moją kuzynką, a ja potwierdzę słowa twoje.

— Nie lubię kłamać! szepnęła, ale Felicya udała że tego nie słyszy.

Powzięła w myśli stanowcze postanowienie. Na długi czas przed powrotem księcia Venturini do Paryża, osadzi natrętną córkę w jakiemś bezpieczném schronieniu, gdzie jéj nikt znaleźć ani widziéć nie zdoła.

Zaprowadziła Donny do buduaru, sama pomogła jéj rozebrać się i urządzić posłanie, i otuliwszy ją starannie, wróciła do swéj sypialni.

Rozkosznie spędzony wieczór zakończył się wsposób nader nie miły i niespodziewany, ale taki bywa nie raz koniec największych przyjemności, trzeba więc poddać się losowi. Felicya doszła już tych lat w których uważa się za niedorzeczność kłopotać się lada czém; na stole stał przygotowany jak zwykle napój z wina z korzeniami, wypiła go i zadzwoniwszy na Paulinę aby już udała się na spoczynek, położyła się do łóżka.

Rozdział VII.

Scena małżeńska.

Zegary i zegarki paryzkie wskazują południe, pogodne i jasne; złote, świetlane promienie słoneczne roztaczają się w przestrzeni i przedzierając się przez niebieskie jedwabne firanki, rzucają piękny blask na kryształy, srebro i chińską porcelanę zastawioną do śniadania. Przy stole siedzą dwie jasno-włose postacie: Lord i lady Dynely.

Siedzieli sam na sam przy stole, głębokie zachowując milczenie. Eryk, chmurny i nadąsany, pochylił się przebiegając niby oczyma *Dziennik urzędowy* milady siedzi po drugiéj stronie stołu, obok niéj stoi błyszczący od słońca srebrny imbryk. Zwiesiła smutnie głowę. Jest tak prawie blada jak piękny biały kaszmirowy negliż jaki ma na sobie; błękitne jéj oczy zdradzają znużenie i bezsenność. Znać po niéj że całą noc spędziła we łzach i udręczeniu; przy nielitościwie jasném świetle słoneczném, blada twarz jéj wydaje się prawie siną. Biedna! biedna Iza! I on to widzi bo nie widziéćby nie mógł, i zły jest za to i na nią i na siebie.

Dotąd nie zamienili z sobą ani słówka; smutna rozprawa małżeńska nie miała jeszcze miejsca. Gdy przyszedł udawała że śpi, ale na wychudłych jéj policzkach, które przed sześciu tygodniami tak były świeże, łzy jeszcze znać było. Wtedy twarzyczka jéj podobna była do kielicha świeżo rozwiniętéj różowéj róży; dziś bledsza jest od najbledszéj lilii. Od rana zamienili tylko kilka oderwanych słówek, ale wojna zdeklarowana potyczka nastąpić musi, a piękny lord boi się jéj, jak wszystkiego co drażni szatańskie jego samolubstwo. Nareszcie odłożył dziennik, mówiąc głosem ostrym, choć niby starał się go miarkować.

„Zdaje mi się iż wiesz o tem że Dennison przyjechał wczoraj; niech licho porwie natrętnika który wtrąca się do tego co do niego nie należy. Sądzę iż wiesz lub dowiesz się że śledził mnie i probował wystąpić w roli kaznodziei, dla nawrócenia mnie... doprawdy dziwię się sam sobie iż nie ukarałem go za to zuchwalstwo, ale nie minie go to niemylnie jeźli raz jeszcze poważy się to uczynić. Spodziewam się, Izo że to nie z twojego polecenia?

Te słowa, a szczególniéj głos i postawa z jaką były wymówione przejęły ją dreszczem; spostrzegł to i uczuł w sumieniu wyrzut za tak niegodne swoje postępowanie, co rozgniewało go więcéj jeszcze.

— Czy dałaś mu takie polecenie? powtórzył z gniewem.

Podniosła oczy na gniewną twarz jego i spuściła je zaraz silniéj jeszcze przygnębiona.

— Nikomu żadnych nie dawałam poleceń, odrzekła ledwie dosłyszanym głosem.

— A! zawołał opryskliwie, przecież widziałaś go... był tu?

— Tak był.

— I skądże dowiedział się tak dobrze gdzie mnie znajdzie? Powiedziałem ci że mam obiadować z kilku towarzyszami w *Café Anglais*.

— Tak mi powiedziałeś, odpowiedziała cicho.

W tem wpatrzyła się w niego, oczy jéj zaiskrzyły się i rzekła śmiało:

„Byłeś w teatrze Eryku.

— W tea...

Lord Dynely tak został zadziwiony, że ostatnia syllaba zamarła mu na ustach.

— Tak, w teatrze, powtórzyła żywo Iza, więc i ja chciałam tam być koniecznie. Biedny Terry, nic on nie winien; tak prosiłam, tak nalegałam, tak błagałam iż nie mógł się oprzéć i musiał mnie zaprowadzić.

— Czy wolno zapytać, rzekł jego wysokość z wykwintną grzecznością ale siniejąc z gniewu, jakiż to teatr raczyłaś zaszczycić swoją obecnością? Zapewnie Operę?

— Nie, byliśmy w teatrze *Nouveautés*, i widzieli

śmy tę kobietę... i widzieliśmy ciebie, odrzekła tymże samym tonem.

Eryk zacisnął usta, uniesiony szalonym gniewem; oczy jego iskrzyły się tłumioną złością.

„Widziałaś tę kobietę... powtórzył; tłómacz się jaśniéj, jeżli łaska, lady Dynely. Widziałaś tę kobietę, jaką?

— Tę aktorkę, tę niegodziwą wymalowaną baletniczkę... Widziałam także iż rzuciłeś jéj bukiecik który ci dałam, i przypięła go sobie do głowy... Potem poszedłeś do jéj loży i... i...

Nie mogła mówić więcéj, na samo wspomnienie jak się nachylił i jak patrzył na tę kobietę, siły ją opuściły, zakryła twarz rękami i gorzko płakać zaczęła.

On patrzy na nią, twarz jego i usta posiniały prawie z gniewu; w téj chwili miota nim jakaś szatańska złośliwość, i strasznym wyrazem napiętnowała całą jego fizyognomię. Ta płacząca, złamana boleścią kobieta, to jego żona od sześciu zaledwie tygodni, i ani pomyśli nawet uspokoić ją albo pocieszyć... Któż zdoła określić jak wielka potęga złego w nas się mieści?...

U krótko widzących ludzi, lord Dynely uchodził zawsze dotąd za człowieka dobrego serca, łagodnego, szlachetnego, który najmniejszemu stworzeniu nie byłby zdolny wyrządzić krzywdy. Sam także uważał się za bardzo dobrego chłopca, z najlepszym charakterem a nawet i czułem sercem, a oto teraz siedzi naprzeciw swéj żony, wpatrując się w nią z wyrazem mściwéj zawziętości, który klasyczna regularność jego rysów, silniéj jeszcze uwydatnia.

Przerażona jego milczeniem Iza spojrzała na niego przez łzy i zadrżała przerażona zimnem, zabójczem spojrzeniem. I jestże to ten Eryk który przed kilku jeszcze zaledwie dniami patrzył na nią tak namiętnie i tkliwie, był dla niéj tak dobrym i czułym?

Głowa jéj opadła na piersi i znów rzewnemi zalała się łzami. Nareszcie przemówił.

„Więc poważyłaś się na coś podobnego, rzekł ostro, okrutnie, bezlitośnie; poważyłaś się szpiegować mnie... Porozumiawszy się z dawnym twoim kochankiem, kazałaś mu śledzić mnie i szpiegować... Nikczemna jesteś, Izo, i całe życie żałować tego będziesz!

Bolesny krzyk wydarł się z jéj piersi; on wstał, rzucił dziennik i stanął przed nią.

„Doprawdy wielka to szkoda, rzekł z okrutnem szyderstwem, że przeszkodziłem ci zaślubić Dennisona; jest dotąd zakochany w tobie, a nie ulega wątpliwości że i twoja do niego skłonność jest teraz silniejszą niż była kiedykolwiek. Czy mogę zapytać gdzie spędzicie dzisiejszy wieczór?

Otworzyła szeroko oczy, wpatrując się w niego z wyrazem niewypowiedzianego przerażenia i prawie obłąkania. Eryk ją znieważa! Eryk za którego oddałaby życie, który był dla niéj ideałem bożyszczem! Jéj marzenie szczęścia tak było krótkie, a przebudzenie tak bolesne i gorzkie. Bożyszcze pokazuje się w prawdziwem swojem świetle, i dla niego to poświęciła Terrego, dobrego, serdecznego, szlachetnego Terrego... i oto jaka ją spotkała nagroda...

O! gdyby zamiast uledz zachceniom swego ślepego i samowolnego serca, gdyby była posłuchała rad i przestróg rodziny i przyjaciół... A! czemuż nie można cofnąć przeszłości. Zdawało jéj się że przyszłość jéj będzie rajem na ziemi, do którego boleść, troski i zmartwienia żadnego mieć nie będą przystępu, aż oto po kilku dniach zaledwie, runął cały gmach jéj szczęścia...

Czuła iż każde z tych okrutnych słów godziło w nią jakby uderzenie młotem; chciała przemówić ale z ust jéj wydarły się tylko jakieś niewyraźne dźwięki, a twarz jéj i oczy taki przybrały wyraz, iż choć zaślepiony gniewem Eryk przeraził się i uczuł jakby wyrzut sumienia.

„Nie patrz tak na mnie, rzekł z przymuszonym śmiechem. Nie myślałem powiedzieć tego com powiedział, lecz gdy się kto dowie że w jego nieobecności żona biega po teatrach z dawnym swoim wielbicielem... Co chcesz?

Ostatnie słowa zwrócone były do służącego, który wszedł niosąc na tacy bilet wizytowy i podał mu go z ukłonem. Lord Dynely przeczytał i zawołał z zadziwieniem.

„Panna Fanny Forrester! spisek przybiera rozciąglejszy zakres, i oni są tutaj... Gdzież jest ta młoda dama? zapytał służącego.

— W salonie, milordzie.

— Dobrze, powiedz że służemy jéj zaraz.

Służący skłonił się i wyszedł.

„Idź do swego pokoju, Izo, i, na Boga! staraj się inną przybrać minę; wyglądasz jak nagalwanizowany nieboszczyk. Widząc cię tak, gotowi by pomyśléć że wznowiłem dawny zwyczaj angielski i biję swoją żonę. Zrób co chcesz, uróżuj się, a jeźli nie umiesz przyzwij pomocy swéj panny służącéj, tylko nie pokazuj tak zmienionéj twarzy, przenikliwym oczom panny Forrester."

Po tem mężowskiem napomnieniu, poszedł do salonu powitać Fanny, pogwizdując jakąś popularną piosenkę, z uśmiechem na ustach jak gdyby był w najweselszem usposobieniu.

Rozdział VIII.

Fanny dowiaduje się prawdy.

Fanny siedziała na fotelu nadzwyczaj gustownie ubrana, i wyglądała świetna, zachwycająca, olśniewająco piękna, tak myślał Eryk podchodząc na jéj powitanie, a w sercu jego zbudził się żal że ją utracił. Co mi się stało, mówił sobie? co upatrzyłem w obecnéj mojéj żonie małéj, bladéj, pospolitéj, że przełożyłem ją nad tę uderzająco piękną brunetkę? Gust milorda zmienił się obecnie, znowu przekłada i uwielbia jedynie brunetki.

„Fanny kochana, zawołał ujmując obie jéj ręce, jakaż to miła niespodzianka! Wprawdzie wiedzieliśmy że macie przyjechać, ale nie spodziewaliśmy się że to tak prędko nastąpi. Gdzieżeście stanęli?

— Przyjechaliśmy wczoraj wieczorem i stoimy na przedmieściu Saint-Honoré, obok naszéj ambasady. Powodowana zwykłą sobie żywością charakteru i nieposzanowaniem konwenansów, wybiegłam zaraz po śniadaniu, nie zważając że może zastanę was jeszcze w śnie pogrążonych. Na szczęście wstałeś i jesteś ubrany; a gdzież Iza?

— Zaraz przyjdzie. Ale jakaś ty śliczna, Fanny, rzekł z żalem; widać miłość cudownych dodaje wdzięków.

— Być może, odrzekła śmiejąc się, wreszcie musisz wiedziéć o tem z doświadczenia. Choćbyś miał myśléć że to tylko grzeczność za grzeczność, muszę powiedzieć że i ty doskonale wyglądasz, widać zaraz że życie obchodzi się z tobą jak z rozpieszczonem zepsutem dzieckiem. Zapewnie dla tego wydaję ci się piękną, że patrzysz na mnie przez pryzmat miodowych miesięcy.

Eryk zaśmiał się przykrym jakimś śmiechem, pomyślał o owem sam na sam przed chwilą, o owéj scenie małżeńskiéj tak nic a nic nie przypominającą miodowych miesięcy, którą właśnie przerwało jéj przybycie.

„Jakże się wszyscy miewają? zapytał; matka moja, pani Caryll? czy i ona przyjechała?

— A jakże, i zdrowsza niż ją kiedykolwiek widziałeś, i matka twoja zdrowa, pragnie zobaczyć cię jak najprędzéj. No, jakże znosisz jarzmo małżeńskie? doprawdy, Eryku, jakoś nie mogę oswoić się z tą myślą że jesteś żonaty, rzekła śmiejąc się.

Eryk rozśmiał się także, ale jakimś nie wesołym śmiechem.

„Czy i Caryll przyjechał? zapytał, zawsze przerywając rozmowę, ilekroć zwraca się ona do jego szczęścia małżeńskiego. Ale zbyteczne zadałem pytanie; szczęśliwy ten śmiertelnik niezawodnie nieodstępnie wam towarzyszy.

— Rzeczywiście, odrzekła i mocny rumieniec wystąpił na śliczną jéj twarzyczkę. Zobaczysz go niezadługo, mają tu przyjść wszyscy, ja tylko ich wyprzedziłam. Ale co może tak długo zatrzymywać Izę? przecież nie jest tak dziecinna aby się do mnie tak długo ubierała?

— O nie! przyjdzie zaraz, tylko jest dziś trochę cierpiąca, skarżyła się na migrenę. Wiesz sama że długie nocne zabawy i rozrywki, zgubnie oddziaływają na wiejskie piękności. A! zapomniałem, czy wiesz że i Terry Dennison jest w Paryżu i stoi w tym hotelu? Jesteśmy tedy w komplecie, nie brakuje nikogo z rodziny.

I znów zaśmiał się jakimś ponurym śmiechem.

„Terry jest tu!... dobry, kochany Terry! jakże się cieszę że go zobaczę... Kiedyż przyjechał?

— Wczoraj wieczór, zdaje się był to dzień ogólnego zjazdu. Ale otóż i Iza.

Wypowiedział to z pewnym niepokojem, znał dobrze bystry wzrok i przenikliwość panny Forrester i czuje iż niezawodnie zauważyła już że nie wszystko jest jak być powinno. Jednak pewny jest że nic jéj jeszcze nie mówiono, bo gdyby zasłyszała cośkolwiek o nowéj jego namiętności nie byłabyz nim tak serdeczną i naturalną.

Iza zrobiła co tylko było w jéj mocy, biały ubiór zmieniła na różowy, który choć blady odbłysk na twarz jéj rzuca. Nie posłuchała jednak męża i nie uróżowała się, bo różu nie ma i za nadto przypominałby jéj ową umalowaną aktorkę. Gdy się zbliżyła do panny Forrester na smutnéj jéj twarzyczce pojawił się wyraz jakby zadowolenia, rzuciła się w objęcia Fanny.

„Kochana panno Forrester!

— Kochana lady Dynely!

Uściskawszy ją, Fanny powiodła zadziwionym wzrokiem od jéj twarzy na twarz Eryka, który mocno był pomieszany; nie ukrywała nawet jak smutne Iza zrobiła na niéj wrażenie.

Eryk drgnął. Więc Iza tak na niekorzyść się zmieniła?... znowu ogarnął go niedorzeczny, samolubny gniew.

„Czy chorowałaś Izo? zapytała Fanny, wyglądasz tak znękana!...

— Mówiłem przecie że cierpiała na migrenę, zawołał opryskliwie Eryk, mówiłem także iż zabawy i uciechy przeciągające się późno w noc, źle oddziaływają na wiejskie piękności. Ale to przejdzie. No, przemówże, Izo i uspokój pannę Forrester.

— Dziękuję ci, Fanny, jestem zupełnie zdrowa.

(d. c. n.)

Opis do N-ru 34.

(Dokończenie).

N. 21. Suknia z długim stanikiem i z paskiem.

Ubranie przedstawione na ryc. 21 złożone z krótkiej spódnicy, tuniki i długiego stanika, może odpowiednio do wybranego materyału być domowem, spacerowem lub podróżnem. Tunika z przodu i z boków ma szeroko wywinięty wykład, tylny zaś bryt jest tylko lekko z boków podpięty Stanik zapięty jest na haftki pod rodzajem wązkiej kamizelki, u góry 7 u dołu 3 cent. szerokiej. Przybranie stanowią pliski i patki z ciemniejszego materyału 4—5 cent. szerokie. Przy spódnicy szerokie plisowanie.

N. 22. Suknia z vêtement à panier i chusteczką.

Suknia może być jedwabna lub wełniana a vêtement i chusteczka powinna być z materyału lżejszego jak grenadyna, bareż lub t. p. Ubranie przedstawione na rycinie 22 składało się ze spódnicy z lekkiego materyału w pasy i z vêtement z materyału w prucik. Chusteczkę można zrobić z indyjskiego muślinu lub tiulu i przybrać koronką.

N. 23. Suknia à panier z trenem.

Pierwsze środkowe części przodów tworzą kamizelkę, drugie części przodów, boki i pierwsze części pleców krają się z dodaniem materyału na panier, środkowe zaś części pleców przedłużone są we frakową baskinę. Wykrój szyi dany z tyłu okrągławo z przodu podłużnie; rękawy sięgają tylko do łokci. Spódnica ma z przodu i z boków draperyę fałdowaną poprzecznie oddzieloną plisą od brytów tylnych tworzących tren. Model był z materyi jedwabnej mille-fleurs przybranie stanowił atłas odpowiedniego koloru i koronka.

N. 24. Suknia ze stanikiem a panier i z kamizelką.

Spódnica niesięgająca ziemi ogarnirowana falbaną i bufą z dwoma nagłówkami ułożoną w kontrafałdy, ma bryt przedni i boki marszczone poprzecznie. Vêtement a raczej długi stanik a panier ma kamizelkę białą pikową; kokardy z wstążki serge i gruba niciana koronka stanowią przyozdobienie.

N. 25—27. Trzy staniki do sukien.

N. 25. Stanik bluzkowy a panier. Odpowiedni do sukni białej muślinowej lub z kolorowego batystu; przybranie stanowią 3 centym. szerokie wstawki koronkowe i 2—6 cent. szerokie falbanki oszyte wąziutką koroneczką. Spódnica ma przód i boki układane w kontrafałdy przeszyte 6 cent. szeroką bufą i koronką, tylne bryty zakończone falbaną i przepięte draperyą. Bufa tworząca panier przy staniku bluzkowym przedłuża się w dalszym ciągu od bufy idącej wzdłuż przodów bluzki, a z tyłu kończy się pod brytem upiętym w draperyę. Bufa kraje się z prostego kawałka i liczy na staniku 4 cent. szerokości, na panier zaś 64 cent. z tyłu a 24 z przodu. Pasek i kokarda z wstążki serge 8 cent. szerokiej.

N. 26. Stanik z baskiną a panier.

Stanik z baskiną dopełniony draperyą a panier, owalnie wycięty pod szyją, z rękawami sięgającemi powyżej łokci przybrany jest koronką bretońską 6 cent. szeroką, z której dany plastron wzdłuż przodów.

N. 27. Stanik z bawetem a panier.

Stanik trochę rozszerzony na biodrach, ścięty jest z przodu i z tyłu w długi bawet. Podłużny wykrój szyi ogarnirowany dwoma rzędami szerokiej koronki, która przy szyi podniesiona jest w górę i podszyta crêpe-lisse. Stanik zapina się na haftki a guziczki są tylko dodane dla ozdoby.

N. 28 — 31. Szlaki do sukien letnich, fartuszków, serwet i t. p.

Rycina 28 — 29 przedstawia w połowie naturalnej wielkości dwa szlaki wyszyte ściegiem krzyżykowym, bawełną ponsową i szafirową, ozdobione kratką z wysiepanych nitek. Odpowiednio do czego mają służyć, odrobione być mogą na płótnie, perkalu, kanwie Jawa lub kanwie de congres. Po za szlakiem dane z brzegów rzędy dziergania; dwa inne deseniki na szlaczki załącza rycina 30—31. Frendzla wysiepana z brzegów puszczona jest gładko, lub wiązana w kwaściki jak na ryc. 31.

N. 32. Kamizelka z żabotem.

Forma kamizelki jest bardzo zbliżona do męzkiego krawata, wycina ją się ze sztywnego muślinu i pokrywa materyą lub aksamitem. Na wzorze jaki załącza ryc. 32 przyozdobienie stanowiły aplikowane haftowane gałązki; środek zapełnia żabot z koronki fałdowanej wachlarzowo.

N. 33. Kokarda do kołnierzyka.

Skos białego atłasu 22 cent. szeroki, założony w trzy fałdy użyty jest na pukle i na koniec oszyty blondyną jedwabną 4 c. szeroką. Środek kokardy zamiast węzła przepięty wachlarzowo sfałdowaną koronką i gałązką kwiatów.

N. 34—36. Chusteczka robotą szydełkową.

Odrobiona jest z włóczki pompadour która tem się różni od włóczek używanych dotychczas na cienkie leciutkie chusteczki iż kręcona jest z cieniutką nitką jedwabiu tego samego koloru. Za granicą włóczki tej dostać można we wszystkich kolorach. Chusteczka którą opisujemy liczy 70 cent. w kwadrat i zakończona jest ładnemi w nowym rodzaju ząbkami szydełkowemi podług ryc. 34. Tło w rodzaju tunetańskim przerabia się 70 razy zacząwszy na 200 oczek; pierwszy rząd zwykłym tunetańskim sposobem w następnych rzędach (od ręki prawej do lewej) nabierając oczy przerabia się jedną pentelką najpierw drugie o. poprzedniego rzędu a potem pierwsze, tak że one się skrzyżują z sobą jak to widać na ryc. 35 podającej bardzo dokładną próbkę roboty. Przerabiając oczy (od ręki lewej do prawej) łańcuszkiem oczka skrzyżowane przerabia się razem 1 o. Strzałka na ryc. 35 dana w rzędzie idącym od ręki prawej do lewej odznacza że przy nebieraniu oczek najpierw nitkę przewłóczy się przez drugie a potem dopiero przez poprzedzające.

Zęby brzeżne zakończone małemi kwaścikami przedstawione na ryc. 34 trochę mniejsze niż w wielkości naturalnej robione są poprzecznie zaszywając na 23 o.; pierwszy rząd jest zwykły tunetański w drugim i w trzecim rzędzie przeciąga się pentelkę nie przez o. łań. lecz przez poprzeczne oczka. W czwartym rzędzie robić w sześć pierwszych oczek po 1 o. łań. na brzeg boczny ząbka a w następnych 17 oczkach po 1 o. śc., poczem odwrócić robotę i robić 2 o. pow. 1 sł. w ostatnie o. poprzedniego rzędu, 2 o. pow. dalej w czwarte o. i następnie co drugie oczko robić muszkę złożoną z trzech pentelek zrobionych 1 o. śc., przedzielać 1 o. pow. na zaczęcie następnego zęba.

N. 37. Kapotka biała bastowa.

Ma rondko wygięte w ząb odstające nad czołem, podszyte atłasem bladо niebieskim i podpięte paskiem atłasowym 3 cent. szerokim oddzielonym od rondka riuszą z niebieskiej crêpe-lisse. Główkę otacza wianeczek z mchu z boku zaś bukiecik z róż i konwalii; z tyłu przewiązane są końce z wstążki atłasowej 6 cent. szerokiej.



N. 1. Suknia z paletocikowym stanikiem wszytym w karczek. Patrz ryc. 18 w N. 36. Krój na arkuszu N. III, Fig. 12—20.

N. 2. Sukienka princesse dla dziewczynki lat 2—4. Patrz ryc. 2 w N. 36. Krój na ark. N. II Fig. 8—11.

N. 3. Suknia z bluzką. Krój jak do ryciny 5 w N. 28.

Opis do N-ru 35.

N. 1—3. Ubrania letnie.

N. 1. Ubranie z paletocikowym stanikiem wszytym w karczek. Zobaczyć plecy na ryc. 18 w N. 36. Krój na dodatku N. III, F. 12—20.

Podszewkę stanika paletocikowego przykroić podług Fig. 12 — 20, następnie w materyale zwierzchnim w środku pleców i 5 cent. od brzegów przodów założyć oznaczone fałdy, 3 cent. szerokie a 1 i pół głębokie, które na wcięciu w pasie, powinny być ściślej zsunięte. Następnie przykroić wierzch podług dopasowanej podszewki, fałdy do wcięcia stanu, od spodu wzdłuż zaszyć i gładko zaprasować, a na zwierzchniej połowie przodów naszyć listwę 5 cent. szeroką, z dziurkami do guzików. Na spódnicy niedotykającej ziemi, oszytej plisowaniem 28 cent. szerokiem, można na przednim brycie naszyć listwę z guzikami i dać odpowiednie stanikowi zakłady. Pasek ma 6 cent. szerokości. Na modelu kostjum z płótna szarego, ozdobiony był białemi batystowemi szlaczkami, haftowanemi kolorem ponsowym i niebieskim.

N. 2 i 2 w N. 36. **Sukienka** wycięta formą princesse dla dzieci lat 2—4. Krój N. II, Fig. 8—11.

Biała batystowa sukienka ma przód ozdobiony dwoma

4 cent. szerokiemi kontrafałdami, 17 cent. od dołu przestębnowanemi, w które wszyte są wstawki haftowane, lub wywodzone na tiulu. Do stębnówki fałdy są zaprasowane od dołu luźno puszczone. Takież wstawki zdobią plecki na guziki zapinane, które wraz z boczkami dopełnione są spódniczką marszczoną 25 — 30 centym. szeroką, oszytą 9 cent. szerokim plisowaniem z muślinu. Na spódniczce przyszyta jest trochę nadmarszczona haftowana lub na tiulu cerowana falbanka, zakończona w górze wstawką. Kokardy z wstążki kolorowej 5 centymetrów szerokiej.



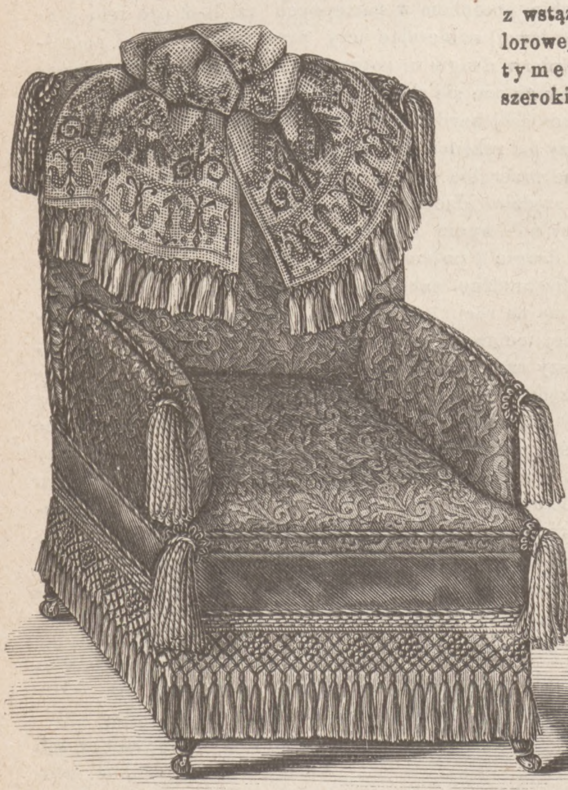
N. 8. Wyszycie brzeżka do serwety ryc. 7.



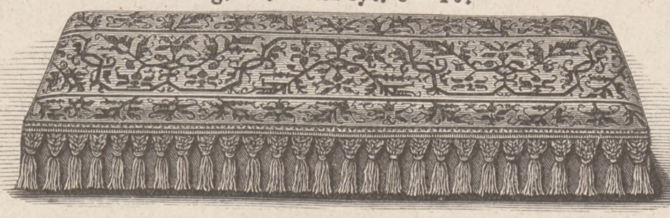
N. 7. Serweta na stół. Haft wschodni, deseń na arkuszu Fig. 49. Patrz ryc. 8—10.



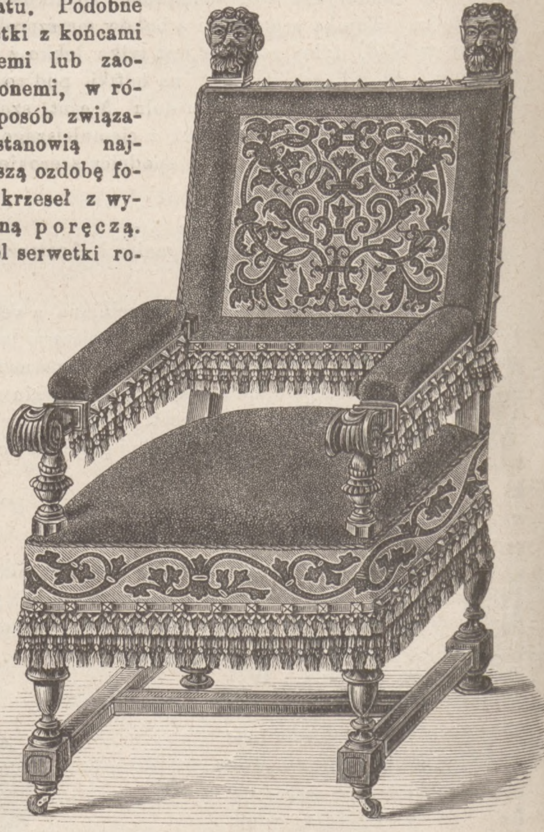
N. 9. Szlaczek do r. 7.



N. 5. Fotel z serwetką „Andrassy.“ Deseń na arkuszu Fig. 47—48.



N. 4. Poduszka do okna ozdobiona haftem krzyżykowym. Deseń na arkuszu Nr 22.



N. 6. Fotel haftowany. Deseń na ark. Nr 22 i Fig. 46.

N. 3. Ubranie z bluzką. Krój podług ryciny 5 w N. 28.

Garnirunek białej pikowej sukni, stanowią falbanki plisowane, 12 cent. szerokie, batystowe haftowane falbanki 5 cent. i wstawki 3 do 4 cent. szerokie. Z boków na spódnicy dodane są dwa gładkie bryciki, 100 cent. długie, w górze 13, u dołu nad śpiczastym zębem 33 cent. szerokie, które na przefałdowaniu tylnego bryta, złączone są z sobą kokardą z wstążki w dwóch kolorach, 9 cent. szerokiej. Pasek i kokardy przy staniku z węższej wstążki. Chusteczka z indyjskiego muślinu obszyta koronką.

N. 4. Poduszka do okna ozdobiona haftem krzyżowym. Deseń na dodatku z krojami N. 22. Próbka frendzli ryciny 13 i 14 w N. 36.

Poduszka wyściełana 6 cent. wysoka, z wierzchu pokryta jest szarem płótnem, wyszytem kolorem ponsowym, ściegiem krzyżowym. Od spodu podszyta ponsowym perkalem, które ładnie przegląda przez frendzlę macramé, szarego koloru. Gdzie dla turkotu lub kurzu trzeba zostawiać podwójne okna, można między nie włożyć taką poduszkę bez frendzli.

N. 5 i ryc. 28 w N. 36. **Fotel** z serwetką „Andrassy.“ Deseń do haftu krzyżowego na arkuszu dodatkowym Fig. 47—48.

Rycina 5 przedstawia fotel pokryty materyą lub aksamitem deseniowym, bez haftu ręcznego, ozdobiony serwetką ułożoną fantazyjnie na sposób kokardy do krawatu. Podobne serwetki z końcami prostemi lub zaokrąglonemi, w różny sposób związane, stanowią najświeższą ozdobę foteli i krzeseł z wyściełaną poręczą. Model serwetki ro-

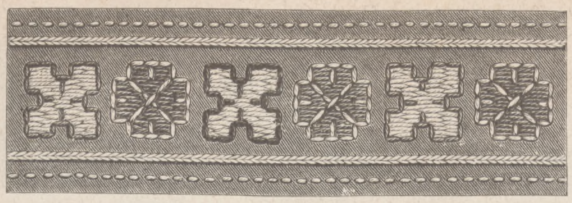


N. 10. Haft wschodni do serwety rycina 7.

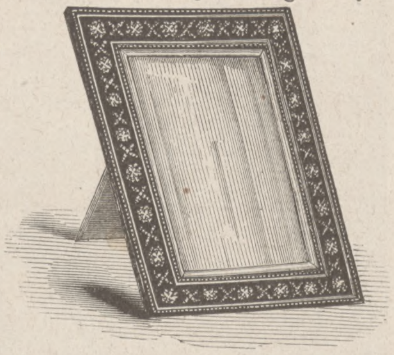


N. 11. Chusteczka z koronki i wstążki.

bionej na różowej kongresowej kanwie, miał 40 cent. szerokości a 153 długości. W każdym końcu w górze nad szlakami dane są zęby których próbkę w naturalnej wielkości podajemy na ryc. 28 w N. 36. Aż do tych zębów dla łatwiejszej roboty wyciągane są nitki, dzielące jej powierzchnię na kwadraciki z trzech nitek, które pokrywa się jednym krzyżykiem. Dla zamocowania odciętych nitek, brzeg dziergany i dwa rzędy krzyżyków przy zębach, robią się na kanwie niewyciąganej. Na Fig. 47 podajemy deseń arabeskowy a na 48 ptaka, którego w środkowym zębie umieścić można. Taki szlaczek jak przy zębach z dodaniem rzędu ściegów smyrneńskich, powtarza się na całej serwetce w odstępie 12 cent. Do haftu użyta filozela bronzowa i blado niebieska z dodaniem nitki złotej, którą na deseniu oznaczają krzyżyki jaśniejsze. W koło serwetki dany obrąb 1 cent. szeroki, do którego u dołu przyrobiona frendzla kwaścikowa, naprzemian z nici szarych i filozeli bronzowej i niebieskiej.



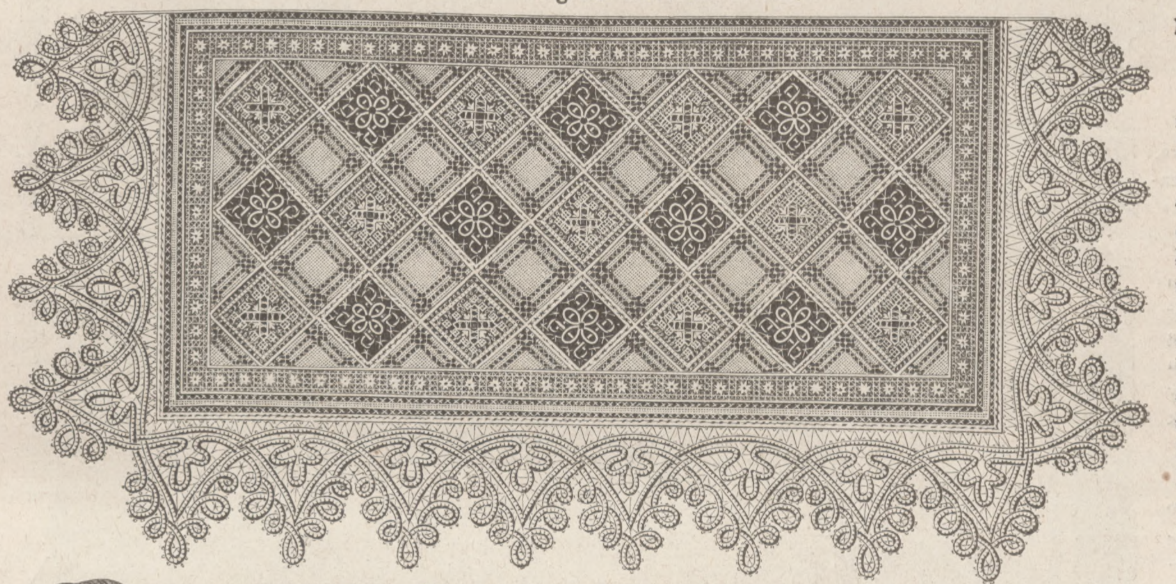
N. 13. Szlaczek na ramkę do fotografii ryc. 14.



N. 14. Ramka do fotografii ozdobiona haftem.



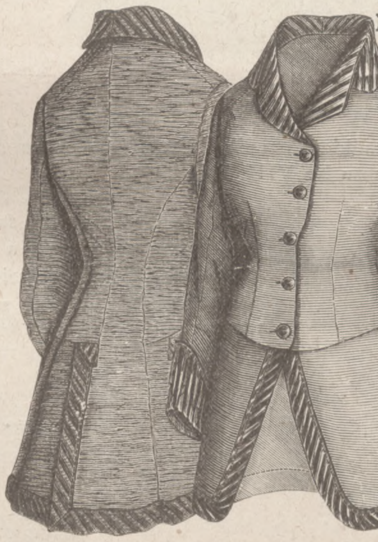
N. 12. Chusteczka koronkowa zdobna kwiatami.



N. 15. Obrus na ołtarz. Robota koronkowa, siatkowa i kratki. Desenie patrz Fig. 42—44.

N. 6. Fotel haftowany. Deseń na arkuszu dodatkowym N. 23 i Fig. 46.

Wyściełana poręcz fotela ozdobiona jest aplikacyą z aksamitu tego co pokrycie atłasowe koloru, z brzegów oszyta cieniutkim sznureczkiem jedwabnym. Siedzenie obite atłasem gładkim, tylko na bokach dany wązki szlaczek aplikacyi.



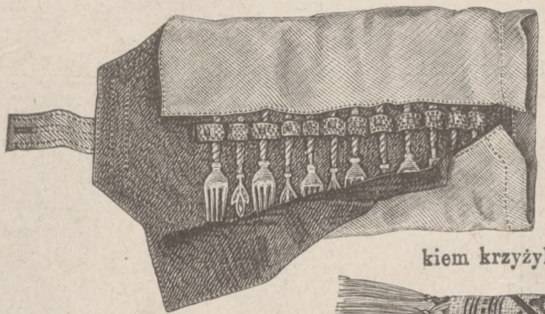
N. 16 — 17. Paletocik z oddzielnie dodaną baskiną. Krój na arkuszu Nr I Fig. 1—7.



N. 22. Fartuszek płócienny ozdobiony szlakiem krzyżykowym. Deseń koronki na arkuszu Fig. 39.



N. 18—19. Paletocik z przedłużoną baskiną. Krój jak do ryciny 16.



N. 20. Futerał na noże, widelce i łyżki. Krój na arkuszu Nr XI Fig. 37. Patrz zapięty na F. 21.

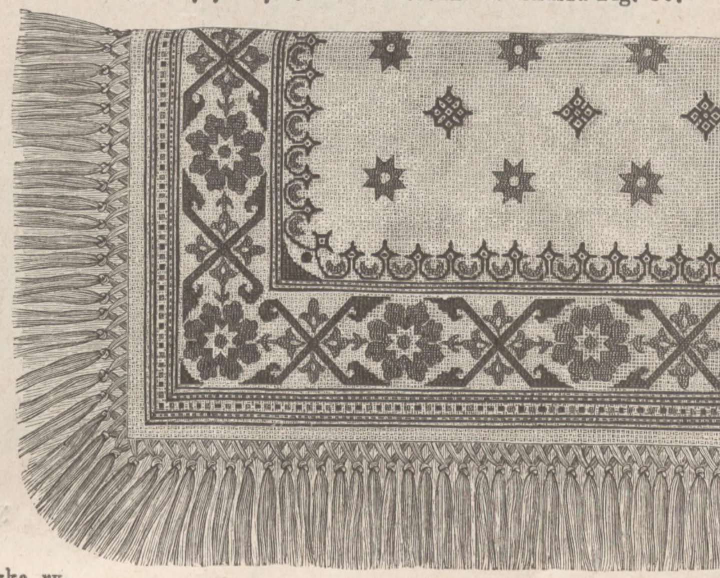


N. 21. Futerał na noże, widelce i łyżki; otwarty patrz ryc. 20.

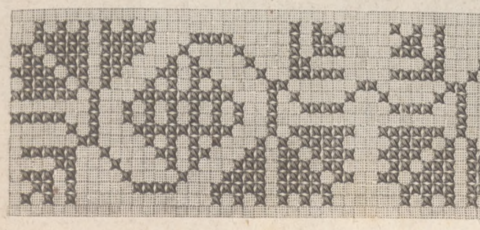
N. 7—10. Serweta na stół. Haft wschodni. Deseń na Fig. 49.

Rycina 7 przedstawia serwetę haftowaną w guście wschodnim. Do tańszych a jednak pięknych serwet tło ponsowe może być z płótna lub szwajcarskiego perkalu albo z sukna ponsowego, a kwiaty i liście deseniu zasnute długiemi ściegami włóczki, przeszywanemi filozelą i jedwabiem, kontury zaś odznaczone sznureczkiem jedwabnym. O wiele kosztowniejsza i piękniejsza będzie robota na atłasie lub aksamicie filozelą lub pelą i kordonkiem. Na całem tle środkowem ułożone w równych odstępach gałązki liści i kwiatów, z których jedną w naturalnej wielkości podajemy na ryc. 10, gdzie dokładnie wskazany jest sposób roboty. Szlak w koło stanowią mniejsze pojedyncze gałązki pomiędzy wązkiemi szlaczkami. Deseń gałązki załączami na Fig. 49 a próbkę szlaczków na ryc. 8 i 9. Na modelu tło kwiatów i liści, podłużne kordonkowe nitki i jedwabne ściegi przeszycia, były jednakowego koloru i cieniu. Duże kwiaty były robione kolorem żółtawo piaskowym w 3 cieniach, listki brzeżne cieniem jaśniejszym, środkowe najciemniejszym a trzecie średnim; punkt środkowy kolorem blado trawnym. Kontury oznacza się sznureczkiem trochę ciemniejszym. Drobne listki i 3 liście przy kwiatach były jasno zielone bez obwódek, odznaczenie dużych liści i gałązek orzechowe, tło w dużych liściach szafirowe. Kwadraciki robić średnim kolorem piaskowym, a małe kwiatki i pojedyncze liście dwoma cieniami popielatemi.

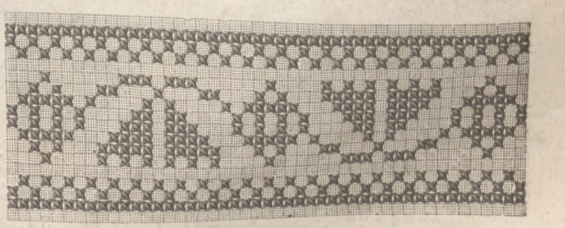
N. 11. Chusteczka ze wstążki i koronki. Chusteczkę przeznaczoną do sukni z wykrojem kwadratowym układa się na wstążce 6 cent. szerokiej a 104 długiej, złożonej w fałdę do 2 i pół centym. szerokości, która otacza szyję i schodzi się w ząb śpiczasty u dołu z przodu. Przednią część chusteczki między wstążką zapełnia śpiczasto ścięty kawałek muślinu, mający 19 cent. wysokości a 9 górnej wysokości, cały zagarnirowany plisowaną koronką 4 i pół cent. szeroką; takaż koronka wachlarzowo ułożona na wstążeczce. Kokardy ze wstążki 2 cent. szerokiej.



N. 25. Serweta lub kapa wyszyta ściegiem krzyżykowym.

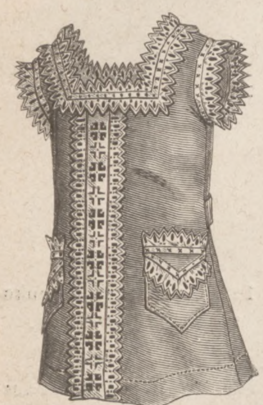


N. 23. Szlaczek krzyżykowy do plastronu fartuszka ryciny 22.



N. 24. Szlaczek krzyżykowy na pasek do fartuszka ryciny 22.

N. 12. Chusteczka ubrana kwiatami. Skośny 110 cent. długi a 35 szeroki kawałek muślinu w końcach z jednej strony zwężony, z tyłu w środku ściśle sfałdowany, z boków rozszerzony, 12 c. od dolnych końców znów ściśle sfałdowany, stanowi chusteczkę, którą garniruje się koronką 7 cent. szeroką, w sposób na rycinie wskazany. Końce przy sfałdowaniu przekłada się na krzyż i zczepia ze sobą; przy wykroju szyi spina się chusteczkę patką 5 cent. długą, ozdobioną zręcznym węzłem, przepiętym broszką. Z boku pomiędzy koronkę wpina się bukiecik kwiatów.



N. 26. Fartuszek dla dziecka. Patrz ryc. 27. Krój na arkuszu Nr IV Fig. 21—22.

N. 13 — 14. Ramka do fotografii, haftowana na ciemno zielonym atłasie filozelą paljową, blado niebieską i rubinową.

N. 15. Obrus na ołtarz. Robota koronkowa, siatkowa i kratki. Desenie Fig. 42—44.



N. 28. Płaszczyk podróżny. N. 29—30. Suknia z paletocikowym stanikiem i tuniką. Krój tuniki na arkuszu Nr VIII, Fig. 34.

Obrus składa się z czworokątów koronkowych, siatkowych i płóciennych mających 16 cent. w kwadrat, zeszywanych nieznacznie we wskazanym porządku i oszytych w koło wstawką siatkową, 6 cent. szeroką i równie szerokim paskiem kratki ażurowej, wyciąganej w płótnie. Na koniec brzegi obrusa z 3 stron oszywa się koronką irlandzką, której deseń łatwo powiększyć podług wzoru ryc. 15. Tak wstawki jak i koronka niepowinny być w rogach zeszywane tylko w robocie dopasowane do wielkości obrusa. Fig. 42 podaje $1/4$ część deseniu na kwadrat koronkowy i wskazuje szerokość koronki, która niepotrzebuje być zbyt cienką; Fig. 43 czwartą część kwadratu siatkowego robionego z mocnych nici, na Fig. 44 mamy połowę zęba koronki. Kwadraty matowe mogą być z płótna niezbyt gęstego i cienkiego lub z kanwy kongresowej, zakończone wąziutkiem obrąbkiem i ozdobione dwoma paskami takiej jak przy brzegu kratki.

N. 16—17. Paletocik z oddzielnie dodaną baskiną. Krój na arkuszu dodatkowym, N. 1



N. 27. Fartuszek dla dziecka. Patrz ryc. 26.

Fig. 1—7.

Do przodów i boczków paletocika dana jest oddzielna baskina, plecy zaś krają się w całości, a na zeszyciu z boczkami daje się małą fałdkę, na którą dodany jest na formie potrzebny materyał. Obłożenie przy baskinie ma 3 cent. przy kieszonkach 2 cent. szerokości.

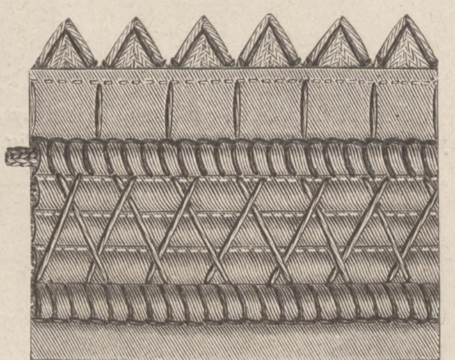
N. 18—19. Paletocik z przedłużoną baskiną. Krój podług ryc. 16 i 17.

Paletocik dopełniający ubranie spacerowe, powinien być z tego samego co suknia materyału; do przodów i bocznych części pleców dodaje się przy baskinie część oddzielnie prosto przykrojoną, od przodu do dołu trochę skośnie ściętą i 20 cent. szeroką, do dołu trochę rozszerzoną.

(*Dok. nast*).



N. 31. Pokrycie na doniczkę z kwiatami. Patrz ryc. 32. Deseń Fig. 41



N. 32. Szlaczek do ryc. 31.



N. 33. Kapelusz biały bastowy zdobny wstążką atłasową i kwiatami. Rondko podszyte aksamitem, riuszą koronkową i podpięte kwiatami. Patrz ryc. 34.



N. 34. Kapelusz biały bastowy. Patrz ryc. 33.